W poszukiwaniu Zegadłowicza



Dworek – Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.

Florian Śmieja

Bodaj jeszcze w Szkocji zaraz po zakończeniu wojny zacząłem

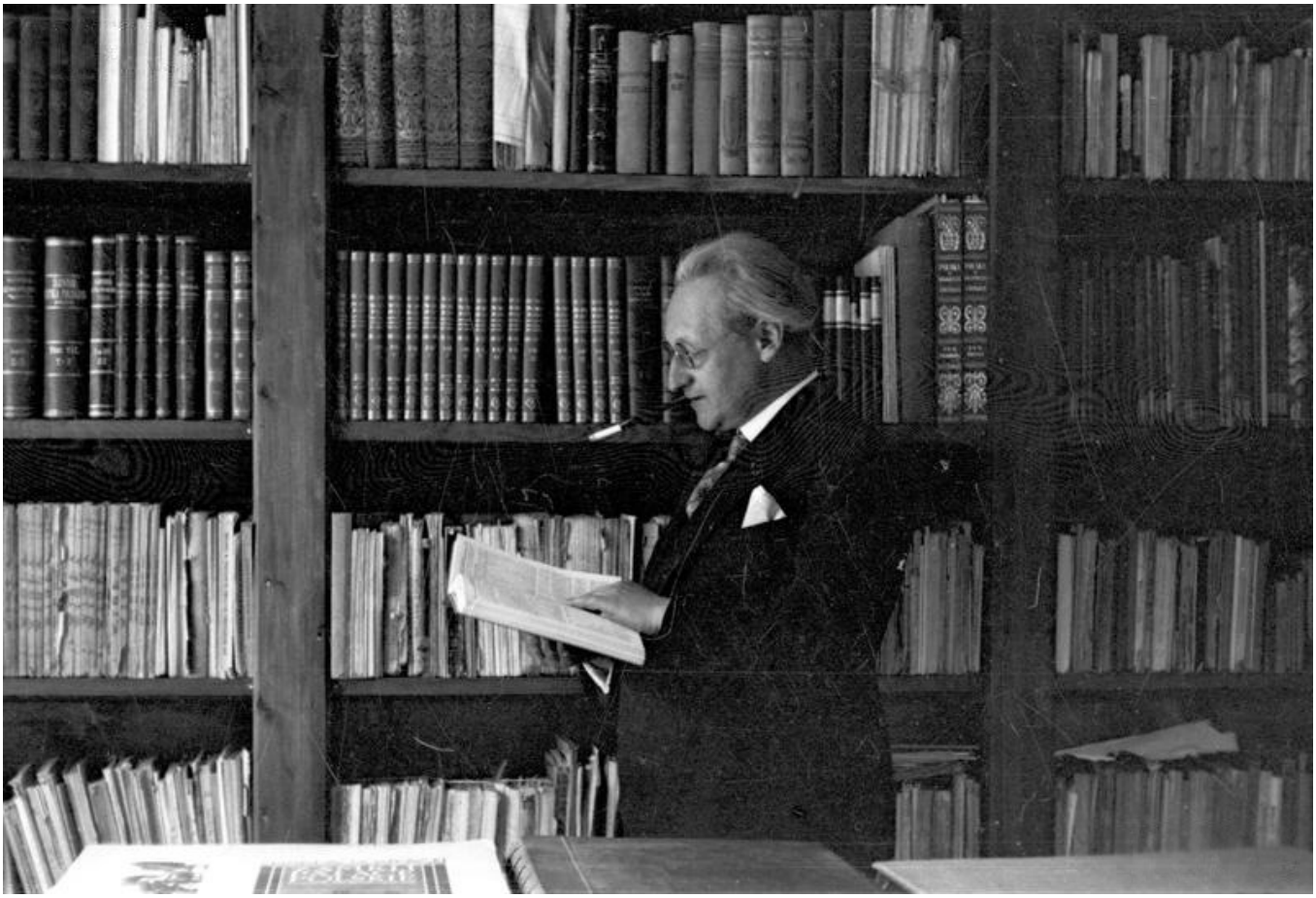
zbierać wiadomości tyczące współczesnych literatów ze Śląska i przyległych ziem. Wśród nazwisk pojawiło się nazwisko Emila Zegadłowicza, którego “Powsinogi Beskidzkie” brzmiały tajemniczo i obiecywały niespodzianki. Lecz nie były to czasy ani miejsce sprzyjające takim poszukiwaniom. Satysfakcjonujące odpowiedzi miałem otrzymać dopiero późną wiosną 2007 roku.

W słoneczną czerwcową niedzielę wybrałem się z profesorem Włodzimierzem Wójcikiem w Polskę. Rozmawialiśmy o tym wcześniej, nieobowiązująco, ale miało to się stać rzeczywistością tym razem. Jadąc nieśpiesznie samochodem przez piękny krajobraz dorodnych łanów minęliśmy Oświęcim i osiągnęli Wadowice. Pokłoniwszy się bazylice, skierowali następnie na drogę wiodącą do Suchej Beskidzkiej, by po kilku kilometrach zrobić skręt w prawo do Gorzenia Górnego.

To tam, w pięknym stylowym pałacyku z wejściem ozdobionym podwójnymi kolumnami funkcjonuje borykając się z różnymi perypetiami muzeum literackie Emila Zegadłowicza (1888-1941).



Emil Zegadłowicz (1888 – 1941) – poeta w swoim mieszkaniu w Gorzeniu Górnym, woj. krakowskie; zdjęcie ze zbioru: Jubileusz 25 lecia pracy pisarskiej Emila Zegadłowicza.



Emil Zegadłowicz (1888 – 1941) – poeta w swoim mieszkaniu w Gorzeniu Górnym, woj. krakowskie; zdjęcie ze zbioru: Jubileusz 25 lecia pracy pisarskiej Emila Zegadłowicza.

Urodzony w niedalekiej Białej pisarz, ukończył gimnazjum w Wadowicach, a w Krakowie studiował polonistykę, germanistykę i historię sztuki. Późniejsza praca zawodowa, aczkolwiek podjęta w Poznaniu i Warszawie, nie przeszkodziła powstaniu właśnie w rodzinnym domu jego bogatej twórczości literackiej. Tam też zawiązała się grupa artystyczna Czartak, powstała z fascynacji przyrodą, w szczególności zaś bliskim Beskidem.

Muzeum w Gorzeniu powstało z inicjatywy żony pisarza, Marii, w 1946 roku i prezentuje w utrzymanych w stylu epoki wnętrzach sztukę XX lecia międzywojennego. Z trzech początkowych sal

urosło do dziewięciu. W tym sanktuarium sztuk przyjaciele i sympatycy muzeum, a do nich należał profesor Wójcik, mogą liczyć na szczególnie ciepłe powitanie. Na nasze spotkanie wyszła sędziwa już córka, Atessa oraz wnuczka Ewa. Przy zaimprowizowanej na powietrzu kawie rozmawiano o wielkim wkładzie Adama, jej przedwcześnie zmarłym bracie kustoszu opiekującym się szczególnie pieczołowicie cenną puścizną po wielkim dziadku, twórcy i kolekcjonerze.



Muzeum Emila Zegadłowicza. Herbaciarnia.



Muzeum Emila Zegadłowicza. Jadalnia.



Muzeum Emila Zegadłowicza. Gabinet,



Muzeum Emila Zegadłowicza. Biurko.

Z czasem prywatna instytucja przekształciła się w Fundację. Dzięki pomocy przyjaciół i zainteresowanych ośrodków utrzymało się to świadectwo minionej epoki, w której to aurze powstały słynne poezje “Powsinogi Beskidzkie” i “Kolędziołki”, a w prozie trylogia “Żywot Mikołaja Srebrempisanego” oraz dramaty takie jak “Lampka oliwna” czy “Domek z kart”.

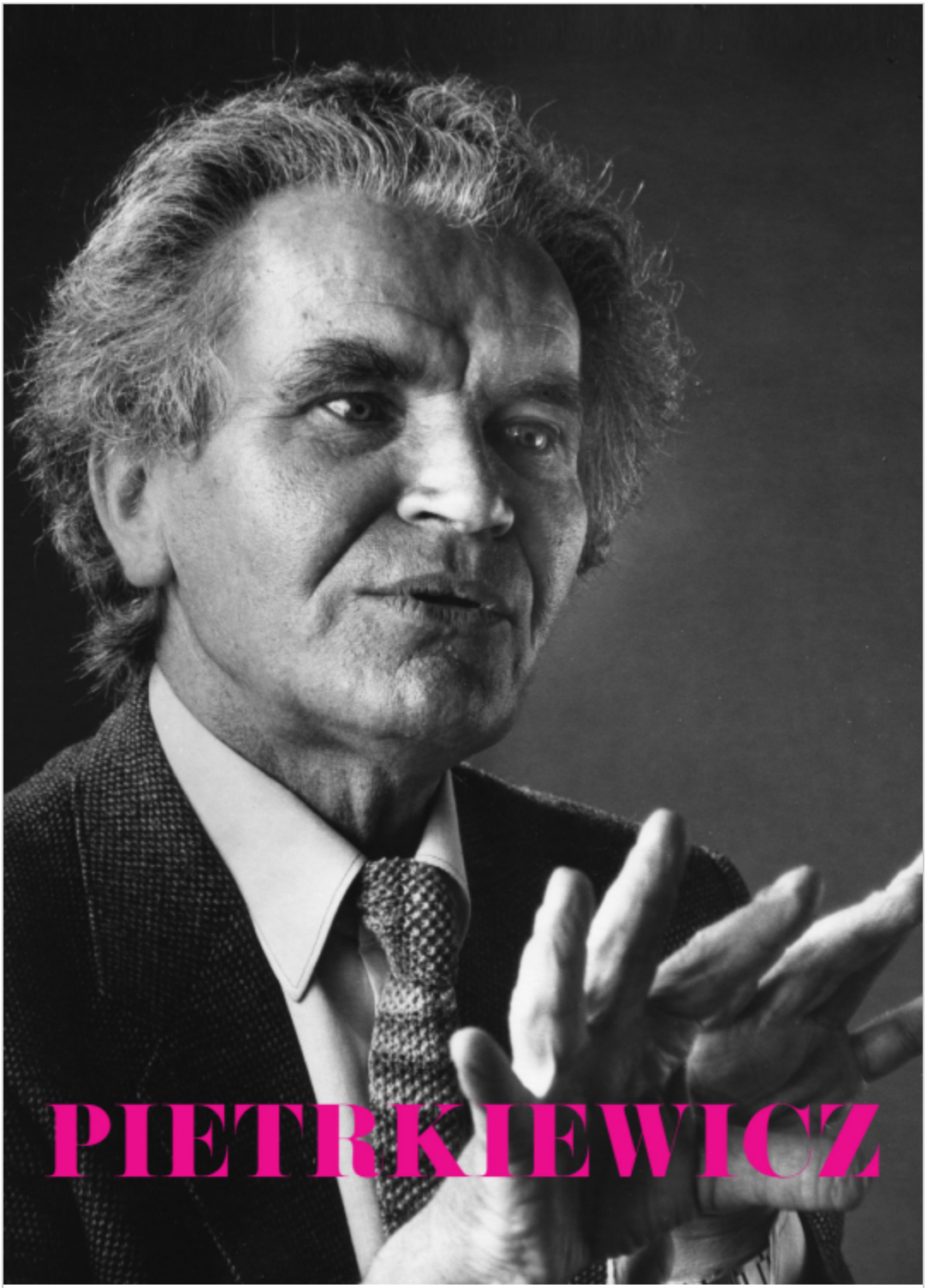
Zegadłowicz zmarl po ciężkiej chorobie w 1941 roku w Sosnowcu i na jednej z jego cmentarzy został pochowany, ale jego twórczość i kolekcje dzieł sztuki zapraszają do Gorzenia nie tylko na prawdziwą lekcję niedawnej historii, ale także do poznania autentycznej atmosfery i ludzi związanych z tym wyjątkowym miejscem dla kultury i nauki polskiej.



Prof. Włodzimierz Wójcik (z lewej) i prof. Florian Śmieja w Muzeum Emila Zegadłowicza.

Refleksje

z korespondencji z Jerzym Pietrkiewiczem



Jerzy Pietrkiewicz, fot. Archiwum Emigracji.

Florian Śmieja

Jerzego Pietrkiewicza poznałem w czytelni British Museum w Londynie w 1946 roku w czasie urlopu ze szkockiego obozu. Cztery lata później w latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w Szkole Nauk Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego. Potem rozeszły się nasze drogi. Ze szczupłej naszej korespondencji zachowało się kilkanaście listów i pocztówek, kilka zaginęło po nadaniu na poczcie w Sandomierzu.

Z nastaniem komputerów komunikacja stała się łatwiejsza, tańsza i szybsza. Ale korespondencja przedtem osobista i prywatna, stała się obojętna, bezbarwna, a właściwie nietrwała i ulotna. Niewiele z niej ocaleje.

Dlatego z nostalgią oglądamy listy z dawnych lat, ze staroświeckiej ery pisania odręcznego. W zapomnianej teczce znalazłem te ocalałe listy i widokówki od Jerzego Pietrkiewicza (1916-2007), poety i pisarza, wykładowcy polonistyki na Uniwersytecie Londyńskim.

Biorę do rąk i czytam najstarsze pismo z 1954 roku. Pietrkiewicz zaczął wtedy pisać serię powieści w języku angielskim. Z listu wynika, że mój korespondent przeczytał artykuł, moją recenzję jego książki i dziękuje mi za *ujęcie rzeczy całej , która pokazuje powieść poprzez poezję i dwa pokłady językowe*. Natomiast do dalszej mojej narracji Pietrkiewicz-kokiet ustosunkował się przewrotnie.

> Wspomniał Pan następną powieść (gdyby to zdanie ukazało się kilka tygodni temu, moja przesądna natura przeżyłaby kryzys). Tak, rzecz ta ukaże się na wiosnę, ale – błagam – niech Pan nikomu o tym nie opowiada, bo demony dobrzyńskie zmówią się, pokręcą korektę, zamażą okładkę, zjedzą ewentualne honoraria.
>
> Chciałbym, żeby druk tej powieści był niespodzianką. Będzie niespodzianką i dla Drogiego Pana (niech Pan nigdy nie ufa autorom, kiedy szepczą o swych planach literackich – bo łgają (sic! FS) i zamazują ślady – tak, tak…), Czymże byłoby pisanie bez łgarstwa, prawda? – tylko prawdą, a to nie idzie w parze z fikcją. Przekazuję ten sekret w dobre ręce i niech co rozjaśniłem, zaciemnię. I ani pary z ust…
>
> Jeszcze raz dziękuję za piękny artykuł (pochlebny dla mnie – ale próżność poetycka mile pogłaskana). To, co Pan napisał, najlepiej podsumowało to wszystko, dobrze więc, że wydrukowano właśnie teraz, z opóźnieniem.

Następnie otrzymałem jakieś wycinki z „Wiadomości” Grydzewskiego wraz z oficjalną kartką z papeterii Szkoły Nauk Słowiańskich datowaną 15.X.1964 roku.

> Załączam wycinek o Szewczyku (z 1946!) – może Pan go przekazać Szewczykowi, jeżeli Pan zechce. Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował, a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta. Tak, chciałbym bardzo przeczytać coś Pańskiego o nim. Szukając owej recenzji, natrafiłem na moją odpowiedź w ankiecie z 1948 r.,co jako curiosum Panu daję do teczki. W tych polskich „dark ages" jakąś tam świeczkę nosiłem . P.S. Jeśli Pan zdobył „Wiadomości", to wycinek Szymona także dla Wilhelma Sz. Jeśli nie – naturalnie dla Pana.

Z mojego zaproszenia w 1966 roku, by Pietrkiewiczowie (oboje byli na naszym ślubie w Londynie w1954 roku), przyjechali w odwiedziny do Nottingham, do którego się przeniosłem, nie skorzystali. Pietrkiewicz tłumaczył, że jego żona, Christine, miała akurat dużo zajęć w BBC.

Odpowiadając na niepamiętaną dzisiaj moją kwerendę kwestionującą jego określenie odpowiedział:

> Wie Pan, że jednak „erotic-sonnet"- na tym polega dowcip

> cytatu viz. Petrarka i damy serca. Ile tam złości i żółci. Nawet idealizujący krytycy przyznają, że „I ten wiersz wraz mi stwardniał(!) bliższe Freudowi niż Beatrice. Pogadamy przy okazji o tym i o „cobble" (realizm szczegółu, zawsze u C.K.Norwida) – tylko niech zacny Florian się pojawi na londyńskim bruku.

Otrzymałem też wtedy nadbitkę artykułu Pietrkiewicza z czasopisma „Eos" na temat tradycji schadzek o świcie. Wśród przykładów polskich, Pietrkiewicz zacytował trzy pieśni anonimowe ze Śląska Cieszyńskiego z dopiskiem „Ślązakowi śląskie anonimy polecam".

Z upływem czasu zażyłość i przyjaźń nasza rosła. W 1996 pocztówka z Alhambrą zaczynała się

> Florku-Florianie, sercu memu miły, jeśli nie miałeś dowodu na synchronicity – to teraz masz. Dzień przed Twoim listem, dotarł też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał, że chodziliście do tej samej sztuby w Tarnowskich Górach, no i obdarzył cię, że byłeś moim uczniem. Czy zasługuję na tytuł doradcy-guru? Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz, stąd moje zaufanie do Ciebie, niezmienne .A Miodek zrobił ze mną chyba najlepszy program dla TV –

> rozmowę o literaturze. Także osoba budząca szacunek i zaufanie. Arriba Silesia.

Kiedy przeniosłem się do Kanady, Pietrkiewicz odwiedził mnie tam w 1977 roku, dał wykład na moim uniwersytecie i spotkał się z lokalną Polonią w London, Ontario.

Z Ottawy napisał *dzięki serdeczne za gościnność i miłą atmosferę na uniwersytecie Twoim, w domu i w Klubie. A przede wszystkim cieszę sie, żeśmy pogadali po latach i że zobaczyłem Cię w gronie rodzinnym, z Zosią i dziećmi. Nakarmiony, oprany wróciłem do Montrealu*. Dowcipnie dodał: *Miło było zobaczyć Twoją gębę i aurę i humor zanim nie pomrzemy.*

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

> Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wracać do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem, przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny". Pięćsetlecie statui w Skąpem (Maria-

> dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do 17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół tak przepełniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80-lecie, a od planowanych celebracji uciekałem – gdzie- do Alhambry…

I znowu zapraszał mnie do swojego domku andaluzyjskiego, którego fotografie słał z dumą. W styczniu 1998 chwalił się:

> przez drzwi widać mimozę – wszystko już kwitnie – i migdałowe drzewa i aloesy, które kochał Słowacki… Jadę 25 km do restauracji przez pola trzciny cukrowej, które ongiś należały do ojca Lorki (jak wiesz, był bogaty, miał samochód i szofera).
>
> …Jako Ci mówiłem, przyjaźniłem się z poetami śląskimi z Szewczykiem na czele. Ale ja już wolę być in statu contemplationis…

W innym liście z tegoż roku kwitował mój

> co za ładna i wzruszająca niespodzianka dostać list z

> życzeniami od Ciebie właśnie tutaj. Po tych latach potwierdzenie tego, co nas łączy ma szczególny sens, coś z istoty życia.
>
> Jak to dobrze, że wszedłeś w Hispanidad wkrótce po Irlandii. Coraz szersze widnokręgi. Gdybyś tego nie zaznał, nie przeżył w sobie, byłbyś może skwaszony i zły na siebie, jak wielu emigrantów (choć to już luźny termin) jest teraz w swoim zachodzie słońca. Załączam kilka stronic ze „Sycyny", którą redaguje Myśliwski, według mnie naprawdę oryginalny powieściopisarz w Kraju i mądry człowiek.

Pytałem Jerzego o losy jego angielskich publikacji.

> Z tłumaczeniami w Polsce nie jest dobrze, bo nie potrafią znaleźć stylu dla takich książek typu „The Third Adam" czy „The Other Side of Silence". Ktoś próbował „The Other Side" ale uląkł się biedak, choć to, co piszę, nie ma zawijasów czy innych zaciemnień semantycznych . Poczekam – czy doczekam? San Miguel sabe.

W roku 1999 na pocztówce pisał:

> Drogi Florianie (ten Twój Święty był niemal spolonizowany już za Piastów) dzięki za pamięć – bo i Ty już w senioracie tych, co doczekali – a doczekanie to prezent od naszego ciała. Jeździsz, fruwasz, pływasz – un caballero viajero – geny śląskie widać mają geologię swoistą.
>
> Dziękuj, kiedy śpiewasz: „Kiedy ranne wstają zorze". Dziś wstały czerwone jakby buraki pękły na chmurach.

Często donosił z radością o nowych publikacjach i wspólnych znajomych.

> Wyszły trzy sztuki Gombrowicza w jednym tomie dla angloyankesów z moim esejem, który nieźle się czyta po latach.
>
> A nasz Noel Clark (który mile wspomina Twoją pomoc przy wydaniu angielskiej wersji Racławic) słusznie został odznaczony „zasłużony dla kultury polskiej" w ambasadzie, przyjacioły się zeszły. Odznaczono także siwiutkiego gołąbka Jasnowskiego, zdumiony byłem, że żyje jeszcze, chyba go pamiętasz z zamierzchłych czasów.

Kartka z fotografią uroczego zakątka andaluzyjskiego ogrodu pochodzi z 2000 roku. :

> Drogi Florianie, obłapiam milenijnie i Ciebie i ród Florianowy (a Fabian, jak wiesz, dzielił obowiązki patrona Polski z Florianem, póki nie wysłał w męczeństwo św. Stanisława Bolko nazbyt śmiały)…
>
> Należymy do tej jedynej emigracji wojennej, Ty, Floreczku, jako junak. Reszta to dodatki – płatki, co wylatują z młocki historii.
>
> Moja dobrzyńska więź to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna”, „Ballady dobrzyńskie”. ”Piątry poemat” w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja” była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak się ładnie wokół mnie zamykają.

Pod koniec wydarzyła nam się dziwna rzecz. Otóż w 2000 roku na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu

zorganizowano konferencję naukową: „Jerzy Pietrkiewicz – inna wersja emigracji”. Zgłosiłem swój udział, napisałem artykuł „Ten trójkąt europejski w moim życiu” i pojechałem. Pod koniec pojawił się oczekiwany bohater konferencji. Po sesji zaczął podpisywać gotową już książkę materiałów konferencyjnych. Kiedy zbliżyłem się do Jerzego, ten mnie nie poznał. Ogromnie się speszył. Napisał:

> …jak gapa zmęczona, nie rozpoznałem ani Twojej twarzy, ani głosu. No ale sporo lat upłynęło od ostatniego w Londynie spotkania. Taka ekskuza, ale słaba. Rzekę tedy: Espera, siempre espera, ya pasará la noche oscura de su memoria cansada. Amen.

Potem powtórzył:

> Cieszę się, że byłeś na konferencji – to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat – Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą- zamykają i otwierają. Dzieciaki ze szkół Ziemi Dobrzyńskiej witają mnie jakbym był sportowcem z drużyny nieprzegranego czasu.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie rozmowy Bolesława

Taborskiego ze mną na temat tej konferencji. *Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury". To także ustawia w czasie.*

Na fotografii ze swojego domu "El nido oculto" pod Granadą objaśniał:

> Spójrz na tę fotografię z kołem życia: nosiłem – zwoziłem te białe kamienie (ujście podziemnej rzeki, prosto z gór).

(Na późniejszej fotografii z 2002 r. dodał *Symbol oculto wedle nazwy domu. Podczas pełni księżyca koło się kręci*.)

> A dom zaprojektowałem razem z architektem tamtejszym, pomysły moje wprowadziłem w życie, ale powoli – tak jak wyszukiwanie mebli, antycznych drobiazgów. Jak się zjawisz kiedyś, zobaczysz...

Cieszyła go duża pokonferencyjna książka z Torunia.

> Ciekaw jestem , jak odbierasz błękitną księgę. Pierwsze sześć esejów tworzy ciągłość, zgadzam się, że locum i logos to oryginalna interpretacja tekstów. No i Moczkodan dobry,

> a Supruniuk zna tyle faktów. Ten, co pisze o nowelach („Umarli nie są bezbronni”) nic nie wie, że były pisane dla Światpolu (agencji dla prasy amerykańskiej) dlatego, że minister emigracyjny nie pozwolił British Council, abym dostał przyznane mi stypendium i musiałem dorabiać nowelami na zamówienie – taki los mój w pierwszym roku w St Andrews.
>
> W książce jest sporo błędów korekty – będzie errata dla bibliotek. Ale sama rzecz: zbiór esejów i sponsorzy doceniający ważność pracy dla ziemi dobrzyńskiej, dla jej kultury – raduje serce i myśli moje, właśnie w tej fazie mojego życia.
>
> Tak, Drogi Florku, znamy się już od tak dawna: przyjaźń otwiera pamięć, chroni ją i przesuwa w inny wymiar.

Bodaj w ostatnim liście w moim posiadaniu z 5 grudnia 2004 roku Pietrkiewicz powiada:

> Dobrą drogę wybrałeś – i akademicką i rodzinną. Nie będziesz miał do siebie pretensji, a to cenne. Książkę o Kontynencikach (sic! FS) przejrzałem i napisałem dłuższy list do autorki. Co z nich zostanie? Jest angielska fraza „the body of work”, to znaczy, że przyszłość odkryje to, co choć słabe,

> można ocalić. Jak miotła potraktowała Młodą Polskę, albo nieudolny u nas „futuryzm”? The „Body” na śmietnik. Warto podumać nad tym.
>
> To Niemojowski opracował antologię – pokazał mi ją na krótko przed Odejściem. Czaykowski ją popsuł. (Na temat tej antologii pisał Pietrkiewicz także na pocztówce z 2002 r. Sądzę, że były to różne antologie).
>
> Moje zdrowie, jak dwie szale. Ale ziemia dobrzyńska rozumie ważność tego, co zrobiłem. „Sójka” moja dalej fascynuje dzieci. Są już tacy, co znają mój bestseller na pamięć.
>
> Pewnie gdzieś- kiedyś spotkamy się. Pozdrów całą rodzinę, to ich zdrowie daje Tobie energię.
>
> „Carcanet Press” wydała mojego Norwida (Poems-Letters-Drawings), sto stron w ich „Poetry Pleiade” a więc Norwid dla Świata.

Jerzy Pietrkiewicz

Wybitny poeta, prozaik i tłumacz (autor m.in. świetnych przekładów poezji Karola Wojtyły na angielski), ur. 29 września 1916 r. we wsi Fabianki (Ziemia Dobrzyńska) w rodzinie chłopskiej. Ukończył gimnazjum im. Długosza we Włocławku, studiował w Warszawie, był związany z grupą pisarzy ze wsi, tzw.

autentystów, skupionych wokół „Okolicy Poetów“, współpracował z tygodnikiem „Prosto z Mostu“, który drukował w sześciu numerach jego poemat Prowincja, dokument autentyzmu – 1935.

Po wybuchu wojny przedostał się przez Rumunię i Francję do bombardowanego Londynu. Niezdolny do służby wojskowej, ukończył najstarszy szkocki uniwersytet w St. Andrews; doktorat z anglistyki uzyskał w Londynie (Kings College, 1947), przez wiele lat był profesorem literatury polskiej na Uniwersytecie Londyńskim.

Od roku 1953 jest także autorem angielskim: jako Peterkiewicz napisał osiem powieści (m.in. *The Knotted Cord*, *Future to Let* – 1958, *Isolation, Inner Circle* – 1966), które spotkały się z bardzo dużym uznaniem krytyki. Opublikował dwie antologie, poezji polskiej i angielskiej, we własnym przekładzie, monografię *The Third Adam*, studium o poetach „u krańców mowy“, *The Other Side of Silence* – 1970, oraz autobiografię *In the Scales of Fate* – 1993.

Dopiero po 1980 r. zaczęły się niektóre książki Pietrkiewicza ukazywać w Polsce; przedtem był systematycznie przemilczany. Za to brytyjskie *Who’s Who*, sprawdzian życiowego sukcesu, odnotowuje trzydzieści publikacji Jerzego Peterkiewicza.

Zmarł w Londynie w 2007 r.

Terminowanie

„Gabito”. Gabriel García Márquez (1928–2014).



Gabriel García Márquez.

Florian Śmieja

Bujam się miarowo w pasiastym hamaku, pod sklepieniem z palmowych liści. Choć to grudzień, skwary nie ustają, tylko wilgoci mniej. Brązowa wiewiórka zwinnie biega po cienistym drzewie fikusowym. Koło basenu słychać szczebiot drobnych, młodych Metysek, które co chwila z udanym przerażeniem wpadają do wody. I wcale nie są to bezwolne ofiary rezolutnych chłopaków, wrzucających je do kąpieli, ale tak właśnie wyglądają odwieczne gry młodych.

Z plaży dolatują odgłosy mozolnego uderzania: to śniady mężczyzna w słomkowym kapeluszu rozbija maczetą świeże

orzechy kokosowe. Palmy, wysokie, dobrze utrzymane, mają tak jak u nas owocowe drzewa, wapnem bielone pnie, a w ich dostojnych liściach, kołyszących się na wietrze, gwiżdżą czarne, lśniące ptaki o długich ogonach. Zza parkanu przeziera duży napis, nazwa sąsiedniego hotelu: Macondo. Tak jak niegdyś na tej ziemi szukano upragnionego Eldorado, tak teraz kusi, by gdzieś konkretnie umiejscowić mityczną osadę założoną przez Joségo Arcadio i Ursulę Buendia Iguarán, odnaleźć utopijną społeczność, śmieszną, a zarazem tragiczną, żyjącą w czasie historycznym, ale przecież złudnym i wirtualnym, jak byśmy dziś powiedzieli, wydaną na żer zwątpieniu, oddaną snom bardziej niż rzeczywistości, łaknącą nowości, a zakotwiczoną w tradycji. Macondo czyli Nigdzie, ale i Macondo jako Wszędzie, miniatura losu ludzkiego, nie tylko okruch egzotycznej Kolumbii.

Gdzieś w pobliżu muzykuje spotkany wcześniej na ulicy młody gitarzysta. Od czasu do czasu słychać jego tęskne słowa:

Un poquito de cariño yo te pido

un poquito de cariño, nada más.

Ten hotel pod Santa Marta, najstarszym miastem na tym kontynencie, założonym przez Hiszpanów, o pięknej zatoce i

dumnej karcie historycznej, bo m.in. tu umarł bohater walk o wyzwolenie Ameryki Południowej spod władzy Hiszpanów, Simón Bolivar, znajduje się przecież w miejscu równie odpowiednim, równie trafnym jak inne: góry niebotyczne zagradzają przejście, a za tym łańcuchem gór nie do przebycia leży Riohacha ze wspomnieniami Francisa Drake'a. A i do Cartageny nie tak daleko czy do Aracataca, miasta związanego z Gabrielem Garcią Márquezem.

Lokalni Indianie siedzący nadal w niedostępnych górach, jak informuje bogate muzeum w Santa Marta, wyobrażali sobie świat w kształcie jaja złożonego z dziewięciu warstw. W środkowej umieścili siebie, pod nimi leżały światy gorsze, nad nimi, lepsze. Liście koki sprawiały, że życie było do zniesienia: miały moc zamazywania ostrych konturów rzeczywistości. Dorastającym chłopcom w czasie obrzędów wręczali fajeczkę, *poporo*, do koki zmieszanej z mieloną muszelką.

Taką to magiczną ziemię porzucił Garcia Márquez, kiedy zapisał się w 1947 roku na studia prawnicze w Bogocie i zamieszkał w pensjonacie przy ulicy Floriana. Po nocach pisał opowiadania. Jedno z nich pod tytułem *Trzecia rezygnacja* zaniósł do redakcji gazety „El Espectador", która zapraszała młodych pisarzy do współpracy. Dodał karteczkę ze słowami *Przeczytałem Pańską notatkę i załączam opowiadanie. Proszę drukować, jeżeli się nadaje, jeśli nie, podrzeć*. Kiedy opowiadanie się ukazało,

Márquez musiał pożyczyć 5 centów, by kupić egzemplarz pisma. Ogłosił tam jeszcze kilka opowiadań. Zanim wybuchły w Bogocie krwawe rozruchy po zamordowaniu liberalnego przywódcy Gaitana, Márquez opuścił niebezpieczną stolicę i powrócił na wybrzeże. W Cartagenie zapisał się ponownie na prawo i udał się wprost do Manuela Zabali, redaktora naczelnego, nowo założonego dziennika „El Universal" z wydrukowanymi w piśmie „El Espectador" opowiadaniami. Okazało się, że Zabala je już czytał i zatrudnił z miejsca młodego pisarza. Tak więc w Cartagenie, o której bezskutecznie marzył Cervantes, otrzymał pracę dziennikarza i reportera dwudziestoletni Gabriel Garcia Márquez, którego przezwano „Gabito".

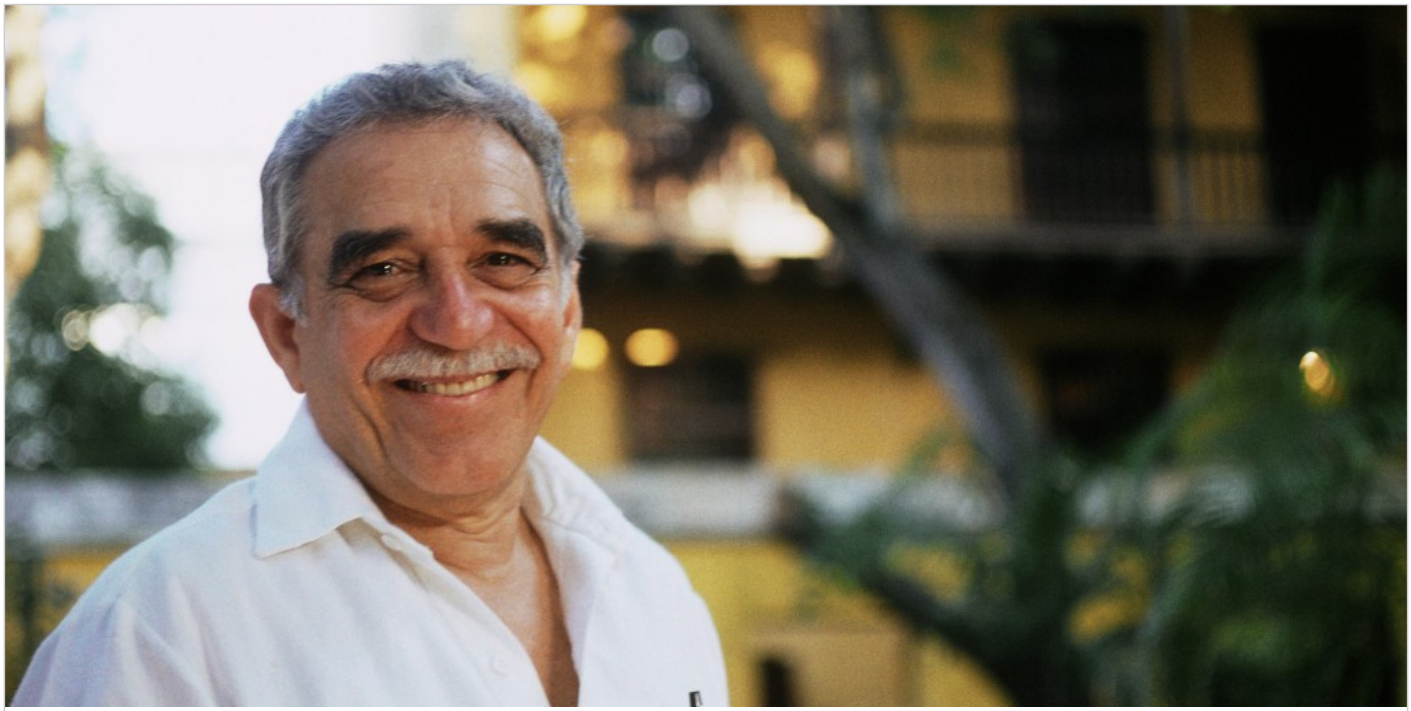
I tak zaczął się krytyczny dlań etap lat 1948–1949. Jako początkujący reporter, piszący po nocach opowiadania, doszedł do przekonania, że zarówno dziennikarstwo jak pisarstwo wywodzą się z tych samych korzeni.

Podupadła kolonialna Cartagena była jednym ogromnym cmentarzyskiem wielkich imperialnych wydarzeń. O lepszych czasach świadczyły niezwykłe mury miasta i forty, masywne budowle publiczne i okazałe rezydencje z typowymi hiszpańskimi balkonami. Cienie bohaterów owych czasów, echa ich zasług i występków błądziły po wąskich uliczkach, Márquez słuchając opowiadań o żonie czterokrotnego prezydenta, Soledad, zauważył że to dobre imię dla powieściowej heroiny. Słuchał

pilnie, kiedy inni mówili, przytakiwał i rozmyślał. Chłonął baśniową atmosferę historycznego miasta. Był małomówny, poważny, pilnie obserwował. Cechowała go delikatność w obejściu i kultura w mowie. Koledzy wspominają go jako człowieka, który nigdy niczego nie potrzebował, nie narzekał na swoją sytuację, nie mówił o zarobkach. Miał fantazję, gdy wespół z kolegą redakcyjnym wymyślał postacie, pisał o nich, a nawet fingował rozmowy z nimi. Kiedy przez miasto przejeżdżali wybitni artyści jak Yehudi Menuhin, czy uczeni i pisarze, Dámaso Alonso, reporterzy mieli okazję zbliżyć się do nich i poznać ich osobiście. Skorzystał z tego również Márquez wręczając swoje opowiadania żonie Dámasa Alonso, powieściopisarce Eulalii Galvarriato. Kiedy wyjeżdżała, zwróciła teksty bez słowa komentarza. Innego rodzaju atrakcją był mag i fakir, który brał do ust stopiony ołów, a językiem dotykał rozpalonego żelaza. Celebrowano lądowanie pierwszego samolotu cywilnego w pobliskim Barranquilla, inaugurującego regularną komunikację. Ktoś propagował odmładzające serum francuskie. Tymczasem na arenie politycznej dopuszczano się represji i mordów, policja ostrzelała procesję religijną. W prasie dominowała polityka i gwałty.

Jako student Márquez wziął udział w wyborach królowej studentów, a wygłoszona z tej okazji jego mowa przysporzyła mu więcej uznania niż jego dotychczasowe osiągnięcia pisarskie. Wybory wywołały zatargi, podziały i ściągnęły polityczne

represje, pozostawiające cierpki smak kolumbijskiej rzeczywistości. Tymczasem Márquez przepadł na egzaminach uniwersyteckich, orzekł. że prawo nie było mu pisane i postanowił zdawać na dziennikarstwo. Odgrażał się, że wyjedzie do Wenezueli, gdzie płacono lepiej, a on będzie mógł pisać książkę. Marzył jednocześnie o zbudowaniu dla siebie idealnego domu w Cartagenie, z którego okiem mógłby przez dzień cały oglądać mury miasta i morze.



Gabriel García Márquez.

Zaczął bywać w siedzibie gazety pełnej duchów i widm: księdza bez głowy oraz tajemniczego pracownika piszącego na maszynie do świtu. Chodził nad Zatokę Dusz na molo, tętniące życiem dzień i noc. Wspomina jak w czasie posiłków w jednej z

tamtejszych restauracji słuchał opowiadań i plotek, i jak z tego materiału powstawała następnego dnia gazeta. „Gabito” lubił wybijać takt na stole, podśpiewywać i opowiadać anegdoty. Fascynował słuchaczy, choć mówcą nie był. Miał szaloną wyobraźnię. I tak to trwało do świtu, kiedy na morze wypływać zaczęły kutry i łodzie. Tych nierealnych świtów młodości pisarz nigdy nie zapomniał. Ani opowiadań stróża, jak to bogacz kupił niewolnicę na wagę złota, a później musiał ją zabić, żeby wyzwolić się z jej czarów. I pokazywał na ścianę, za którą miała być pochowana, o oblężeniu Cartageny przez flotę Vernona, o ujęciu patrolu angielskiego, poćwiartowaniu żołnierzy i spożyciu ich ciał, o bandycie-magu, który tak znakomicie zabalsamował zwłoki wicekróla, co się utopił w zbiorniku wody, że rządził spokojnie dalej aż do przyjazdu następcy, w czasie gdy rozgorzało powstanie Murzynów. Takich to barwnych bajd słuchał „Gabito”, zdolny prowincjusz, pukający nieśmiało do zamkniętego, tradycyjnego miasta. Fizycznie wątły, o szarej twarzy, nieatrakcyjny z wyglądu, a do tego ubierający się niedbale, chodzący z wypuszczoną koszulą, nazywany był za taką aparycję „cywilną odwagą”. Chodził w żółtych koszulach, które zmieniał na targu na nowe.

O literaturze Márquez mógł rozmawiać do woli z naczelnym. Zabala był mężczyzną w sile wieku, niedużego wzrostu, rysy miał indiańskie, ciekawskie oczka za okularami. Nosił zawsze białe garnitury. Pisarz i liberał, był człowiekiem oświeconym oraz

oczytanym w literaturze. Polubił zdolnego i pracowitego „Gabito” i poświęcił mu dużo czasu i mozołu. Koledzy początkującego wówczas reportera zgodni są w ocenie roli, jaką odegrał Zabala. Wspominają z wdzięcznością, że był ich dobrym duchem, doradcą i modelem artystycznym oraz osobistym, poprawiał ich dziennikarskie teksty. Nawet po latach sam Márquez przyznał, że Zabali zawdzięcza wiele z tego czym jest. Do starszego i doświadczonego redaktora mówił zawsze „maestro”, a on był mu mistrzem znamienitym. Nie tylko rozmawiał z nim na temat literatury i podsuwał pisma stołeczne, ale systematycznie wprowadzał go w świat wielkiej, współczesnej powieści. Kazał mu oczywiście czytać Cervantesa, ale także Joyce’a, Unamuno, Faulknera, Hemingwaya, Wirginię Woolf, Dos Passosa, Steinbecka, Malaparte. Był motorem Márqueza, czytał, komentował i poprawiał jego twórczość, o której wyrażał się entuzjastycznie, wróżąc młodemu autorowi wybitną przyszłość literacką. Márquez wspomina czasy nauki mówiąc, że dowodem najlepszych robionych postępów były rzadsze ingerencje robione czerwoną kredką redaktora naczelnego. Zabala zalecił mu słuchanie muzyki klasycznej.

„Gabito” dużo pracował w nocy. Dopiero o świcie, po zamknięciu gazety, kładł się na belach papieru w drukarni i spał. Duża część powieści *Sto lat samotności* powstała w lokalu drukarni przy ulicy San Juan de Dios. Wszystko co napisał pokazywał tylko Zabali, a ten czytał z wielkim entuzjazmem i poprawiał. Tak było

też z jego pierwszą powieścią *Szarańcza*, którą autor przepisywał kilkakrotnie. Był już sławny jako znakomity twórca opowiadań, które z Cartageny nadal słał do Bogoty.

Zasadniczym jednak zajęciem było pisanie informacji i felietonów o trywiach życia miasta i okolicy, a także o niektórych wydarzeniach na świecie. Właściwie „El Universal" nie było pismem sensacyjnym. Jego nakład wynosił 1000-2500 egzemplarzy, interesowało się sceną polityczną, prowadziło kronikę towarzyską i śledziło codzienne życie miasta. Pisało więc o zabójstwie lokalnego przywódcy liberałów, choć sytuacja polityczna w Kolumbii w 1948 roku była niebezpieczna i w wielu felietonach odczuć można było unikanie drażliwych tematów, za to dużo rozwodzono się na tematy neutralne, językowe, literackie i sportowe.

Kiedy Márquez pojechał na urlop do Sucre, przywiózł stamtąd galerię portretów ludzi i krajobrazów. Strony rodzinne nagle zafascynowały go, a on postanowił zawłaszczyć sobie to odkryte bogactwo obrazów wybrzeża. Dotąd opowiadania jego nie odwoływały się do lat i kraju dzieciństwa, a w felietonach robił to sporadycznie i bojaźliwie. Nowe teksty ukazują radość młodego człowieka odkrywającego swoje autentyczne korzenie, czarne kobiety, Indian schodzących z gór Santa Marta z naturalnymi lekarstwami i sekretnym lubczykiem. O tym wszystkim od tego czasu pisze z lubością i teksty swoje podpisuje nazwiskiem. Choć

tego rodzaju tematy znikają na jakiś czas, powracają, widać ciągły nad nimi wysiłek, by znaleźć właściwy styl i trafne słowo, ton i klimat. Obserwujemy proces nieustannej modyfikacji, dojrzewania. Te zdarzenia nieco przerobione drukuje też w innych pismach, dodaje amplifikacje, przypisuje innym, nieznanym korespondentom, ukazując moc sprawczą, sugerującą bujną rzeczywistość i moc słowa. Znajdujemy powtórki, powoływanie się na anegdoty wcześniej drukowane w gazecie, choćby historię Octavia, który wypalił laskę dynamitu. Pisze o właścicielu cyrku, który zatonął w drodze z Kuby do Cartageny, cytuje Charlie Chaplina, wystawia się na krytykę biorąc w obronę lokalnego toreadora, cytuje Aldouxa Huxleya, dostrzegającego dokoła siebie symptomy „dzielnego, nowego świata". Nawiązuje też pierwsze kontakty z ambitną, młodą grupą intelektualną w Barranquilla. Staje się krytykiem poezji i prozy, wspomina rocznicę Edgara Allana Poe, pisze pierwsze artykuły o kinie, a nawet o… hodowli bydła w jednym z regionów kraju. Rzadko używa pseudonimu. Jednym z nich jest „Septimus", postać z powieści Wirginii Woolf. Márquez wyzna, że byłby zupełnie innym pisarzem, gdyby nie przeczytał powieści *Mrs Dalloway* i opisu zniszczenia, które niesie czas.

Zaczęły się ukazywać pierwsze recenzje i pochwały pisarstwa Márqueza. Opowiadania święciły triumfy, dostrzeżono oryginalne postacie, somnambuliczne i niezwykłe. To kontakt z ziemią dodał rumieńców nie tylko pisarzowi w czasie urlopów, ale i jego

konfabulacji. Codzienne obcowanie z wieśniakami, proste, nieskomplikowane rozmowy, krajobrazy i czyste powietrze, stały się przemożną inspiracją, podobnie jak i całe niezwykłe miasto. Pamięta o gmachu konwentu klarysek, przemienionego w szpital Santa Clara, pełen tradycji i zmagań z morskimi wiatrami, bohaterski opór zakonnic, odpierających atak żołnierzy, którzy przyszli, by je z konwentu usunąć. Gmach ten później trafił do powieści, a obok niego powstał jego dom marzeń. W pułkowniku rozpoznano historyczną postać gen. Uribe. Pisarz zbiera drobne anegdotki, przerabia i tworzy magiczny realizm, prawdę-zmyślenie, w którą możemy uwierzyć.

Wspominał jego ojciec, że fantazję Márquez miał już od dziecka, widział jedno, a relacjonował co innego. Wszystko wyolbrzymiał, ale to łgarstwo nikomu nie szkodziło. Długo pisał wielką prozę pod tytułem *Dom* i z tej relacji wychodziły postacie i przepadały, powieść raz pęczniała, innym razem chudła.



Gabriel García Márquez.

Czytał niekiedy partie tej narracji innym, ale nikt nie ingerował w jego dzieło. Ktoś się wyraził, że Márquez nie jest twórcą, ale narratorem, zbieraczem i rekonstruktorem faktów. Vargas Llosa myśląc o penisie-olbrzymie w *Stu latach samotności* wskazywał

na wpływ Rabelaisgo. Lecz po Placu Bolivara w Caratagenie kręcił się typek, Noli, który się szczycił nadzwyczajnym przyrodzeniem, personifikował je i opowiadał wiele anegdot. Márquez twierdzi, że w opowieści chciał przypomnieć swojego dziadka Gerinelda, który pokazał mu po raz pierwszy lód, lecz wiemy też, że Carlos Alemán, jeden z przyjaciół pisarza w Cartagenie, opowiedział mu historię Temistoklesa Delgado, który zabrał swojego syna, aby ten zobaczył dziw. Po ceremonialnym otwarciu skrzyni, przywiezionej łódką na dziedziniec Rady Miejskiej, oglądał jedynie mokre trociny. Lód się stopił. Wysłany przez swoją redakcję do krypty dawnego konwentu Santa Clara, zapamiętał długie włosy zmarłej kobiety mierzące 22 metry i 11 centymetrów. Przypomniała mu się opowieść babci o dwunastoletniej markizie, która miała włosy jak tren ślubny. Ukąszona przez psa zmarła na wściekliznę. Dokonywała cudów i czczono ją nad Morzem Karaibskim. W Turbaco sławny pułkownik Buendia walczył w wojnie tysiąca dni jako liberał. Odniósł ciężki postrzał. Kiedy go znaleziono, w ranie jego gnieździło się robactwo. Mimo to wyzdrowiał i zyskał rozgłos, że kule się go nie imają.

W owym czasie wyszła powieść rówieśnika, którą Márquez omówił. Chwalił jego metodę polegającą na wychwytywaniu przeżyć na gorąco i przenoszeniu ich w świat powieści bez płacenia myta „laboratorium wyobraźni”. Żartuje, że autor będąc człowiekiem wsi, zna walory odżywcze mleka prosto od krowy.

Przypuszcza też, że ma do czynienia z powieścią autobiograficzną. Gani natomiast powieść za niewyrobiony styl, za to, że wydana została za wcześnie. Chwali szczerość autora i bohaterów książki.

Autor tego prologu sam był w posiadaniu imponującego zwoju papieru, rulonu fantastycznej prozy, z której wyodrębniały się już wyraźnie osobne powieści, pełne autobiograficznych reminiscencji, ale ich twórca ciągle je jeszcze szlifował i przetwarzał, nie wypuszczał z rąk, zasięgał języka u znawców, korygował styl z Zabalą. Wypowiadając cytowane krytyczne opinie pod adresem debiutu przyjaciela, przedstawiał własne poglądy na powieść.

Po dwu latach wyjechał z Cartageny do pobliskiego przemysłowego miasta Barranquilla, gdzie obiecano mu pracę w lokalnym dzienniku i trzykrotnie wyższą pensję. Miał tam też kontakty z gronem interesujących młodych pisarzy, którzy posiadali bogate biblioteki. W Barranquilla wreszcie zamieszkała jego sympatia z Cartageny, Mercedes, nazwana przez Márqueza pieszczotliwie „Żyrafą", z powodu długiej szyi. Pod takim też tytułem zaczął pisać swoją stałą rubrykę w „El Heraldo", w którym pracował od 5 stycznia 1950 roku.

Rok później bawił ponownie w Cartagenie, próbując tam osiedlić krewnych sprowadzonych z Sucre. Założył też periodyk

„Comprimido” składający się z samych reklam i notatek. Pismo wnet jednak upadło.

Szczegóły życia lat spędzonych w Cartagenie i aktywności dziennikarskiej znamy dzięki trosce właściciela dziennika „El Universal”. To on zbierał pieczołowicie wszystkie roczniki. Niestety, dziś brakuje w kolekcji kilku numerów pisma z 1948 roku, a co gorsze, również z 1951, kiedy Márquez drukował w nim serię reportaży z Sucre, m.in. o zabójstwie, w które zamieszani byli ludzie znani pisarzowi. Niepowetowana to strata, bo z tego materiału miała później powstać powieść *Kronika zapowiedzianej śmierci*.

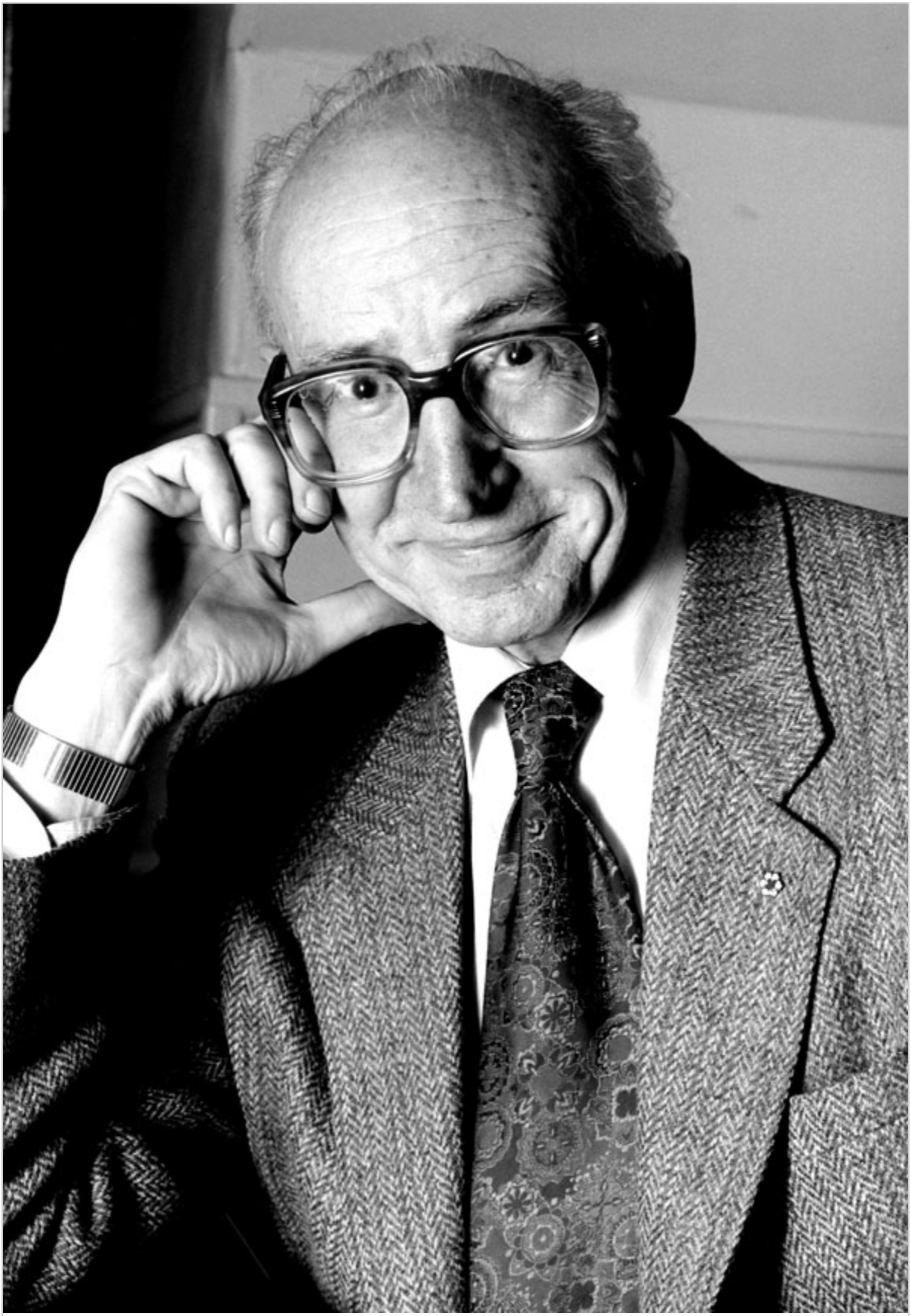
Wspomnienia i opinie przyjaciół i współpracowników zebrał skrupulatnie energiczny, młody redaktor „El Universal”, Gustavo Adolfo Arango, który je ocalił od zapomnienia i opublikował w tomie *Un ramo de nomeolvides* (Bukiet niezapominajek).

Spacerowałem z nim po przestrzennym, widnym, nowym gmachu naprzeciwko słynnego fortu San Felipe. Tam mieści się dziś redakcja i drukarnia „El Universal”. Na korytarzu stoi linotyp – świadek dawnych czasów. Nowoczesna prasa rotacyjna i pięciometrowe bele papieru ustawione w dużej hali są odpowiedzią na obecne zapotrzebowanie. W 1995 roku ten nowy budynek odwiedził Márquez, który przybył na otwarcie ufundowanej przez siebie szkoły dziennikarstwa. Tam odbyła się

jej sesja inauguracyjna. W instytucji, w której pisarz zaczął się uczyć dziennikarstwa, jak powtarza, jedynej użytecznej rzeczy, jaką robił w swoim życiu.

Skorzystał z tej okazji Arango, który w czasie swoich badań przypisał Márquezowi różne krótkie teksty i notatki opublikowane w „El Universal" bez podpisu, konfrontując autora z innymi jeszcze tekstami dziennika, które także ukazały się anonimowo. Przeczytawszy jeden z nich pisarz zauważył: *Nie pamiętam, czy ja to pisałem. To możliwe. W notatkach tego typu zmieniałem styl, używałem tonu neutralnego, który jest nieomal nie do zidentyfikowania.* Notatkę o znalezieniu zamordowanego niemowlęcia w jednej z biednych dzielnic Cartageny, natychmiast rozpoznał jako swoją. Wobec innych załamał ręce. Może nikt już nie odgadnie ich autorstwa. Ale to jeszcze nie ostatnie słowo, bo pociesza się autor wspomnień*: Zawsze jeszcze coś pozostaje do powiedzenia*.

Louis Dudek – poeta montrealski (1918-2001).



Louis Dudek

Florian Śmieja

“Wkład Dudka do literatury kanadyjskiej był ogromny”, zanotował Robin Blaser. Zaden Kanadyjczyk polskiego pochodzenia nie przyczynił się do jej rozwoju bardziej od wpływowego i dynamicznego profesora uniwersytetu McGill, poety, krytyka, wydawcy i pedagoga.

Louis Dudek urodził się w ubogiej, przemysłowej dzielnicy Montrealu 6 lutego 1918 roku. Jego ojciec Wincenty przybył z Polski rok wcześniej i z powodu trudności językowych nie mógł znaleźć dobrej pracy, a matka, Stanisława Różańska, zmarła osierocając dwie córki oraz chorowitego syna, kiedy liczył osiem lat. Rodzimą tradycję kontynuowała sprowadzona z Polski ciotka. W katolickim domu czytano polskie książki i uczono tekstów poetów polskich na pamięć, szczególnie Juliusza Słowackiego, tórego nieraz za karę, jak wspominał Dudek, musiał się uczyć. Od najmłodszych lat miał on do czynienia z mową wiązaną, a nawet brał udział w poetyckim konkursie marząc, by zostać poetą.

Wcześnie zarzucił kontakty z grupą polskich emigrantów w Montrealu i wszedł w szersze środowisko kanadyjskie. Co było powodem odejścia, nie wiemy. Bardziej niż rodacy pociągali go intelektualiści i poeci bez względu na ich pochodzenie.

Czuł się człowiekiem bez przydziału do określonej grupy społecznej, najlepszych przyjaciół znalazł wśród bohemy, w końcu stał się nacjonalistą literackim, jak go określił Michael Gnarowski, jeden z jego późniejszych współpracowników o podobnym rodowodzie.

Ponoć po wczesnym spotkaniu z polską literaturą stracił z nią kontakt. No, może po zdobyciu Nobla przez Miłosza znów się o niej dowiedział. Trochę to dziwne, gdyż w domu, w polskiej szkole i kościele miał okazję do chłonięcia polskiej atmosfery szczególnie, że ojciec odgrywał ważną rolę w lokalnej polskiej społeczności a syn miał polskich kolegów zastąpionych później przez francuskich, a ostatecznie przez anglofonów.

Będąc jeszcze dzieckiem czytał "Pana Tadeusza", „Trylogię" i Słowackiego. Oglądał polskie przedstawienia teatralne, lubił polską muzykę popularną i kolędy, obchodził tradycyjne święta. Trudno mu było później określić wpływ polskiego środowiska na swoją angielską twórczość.

Kto wie, czy odstraszył go wąski nacjonalizm, który uważał za niepożądany, za powiększanie naszego indywidualnego ego poprzez grupową identyfikację. Był zdania, że tylko miernota jest przesadnie nacjonalistyczna, że wielcy ludzie byli obywatelami świata. Wolał samotność od chodzenia w gromadzie. Nacjonalizm był w najlepszym razie laicką formą religijnego

idealizmu. Prawdziwą wartość widział w osobowości i pojedynczym człowieku. Nie uważał patriotycznej poezji za prawdziwie wielką, był przekonany, że poeta pisze przede wszystkim o tym, co kocha, czego doświadcza i co doskonali, że idee są słabą pożywką dla poety. Współczesnej poezji, sądził, nie interesuje kolektyw, a tylko jednostka.

Wychowany w polskości cenił bezpośredniość odczuć, otwartość na świat ale także jego obcość. Przyznał, że uważał za polskie dziedzictwo melancholię, uwrażliwienie, liryzm i refleksję, zmienność odczuć, religijne zainteresowania, racjonalizm, radykalizm i niecierpliwość.

Język polski z czasem zaczął w jego życiu ustępować bardziej atrakcyjnemu i ważnemu językowi angielskiemu. W konsekwencji tej fascynacji Dudek zapisał się na anglojęzyczny uniwersytet Mc Gill i uzyskał licencjat z filologii angielskiej i historii.

Po skończeniu studiów imał się różnych zajęć dorywczych związanych z reklamą a jednocześnie poznał młodych poetów kanadyjskich jak John Sutherland, Irving Layton i Raymond Souster, z którymi miał w przyszłości ściśle współpracować. Jałowe zajęcie zawodowe wnet mu się sprzykrzyło, tak że je porzucił i wyjechał do Nowego Jorku, by podjąć pracę i dalsze studia na uniwersytecie Columbia. Tam wszedł w kontakt z amerykańskimi poetami z Ezrą Poundem na czele. Odwiedzał go

w szpitalu, w którym go zamknięto, a nawet pomógł w staraniach o zwolnienie go stamtąd. Potem prowadził z nim ożywioną korespondencję i pisał poezję pod jego urokiem.

Macierzysta uczelnia McGill zaprosiła wówczas Dudka do zakładu filologii angielskiej, w którym zaczął pracować jako asystent w 1951 roku i z czasem stał się jednym z najbardziej popularnych i lubianych wykładowców. Nie zaprzestał jednak pracy wydawniczej i wraz z Sousterem zaczął publikować czasopismo "Contact" a kiedy dołączył Irving Layton, powstało wydawnictwo "Contact Press". Przez lat piętnaście ten dom wydawniczy wypuszczał długą serię wybitnych tomów poetyckich. Wtedy też Dudek drukował własne utwory łącznie z obszernymi poematami eksperymentalnymi,

W latach 1957-66 kierował pismem "Delta" starając się zapełnić je treścią kanadyjską zgodnie z przesłaniem. że poezja musi powstawać w społeczeństwie i wpływać na jego akcje. Spośród poetów, których wylansował wtedy był Leonard Cohen, którego debiut "Let Us Compare Mythologies" rozpoczął poczet nowych poetów kanadyjskich. W 1970 zainicjował wydawnictwo "DC Books".

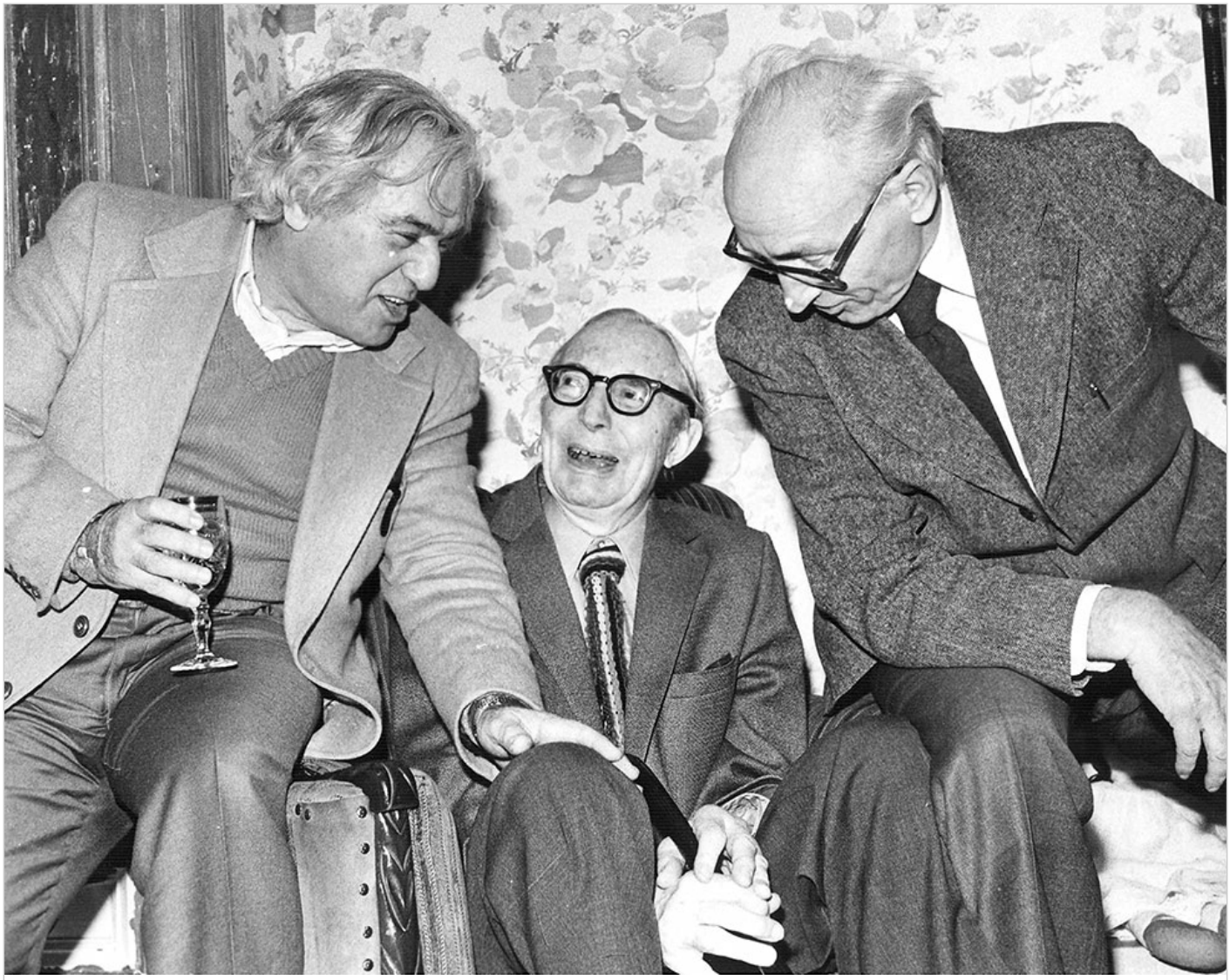
Mieszkająca wtedy w Montrealu Ewa Stachniak opracowywała audycje polskie dla radia. Zdołała ona nakłonić Dudka, aby nie tylko wystąpił w programie i opowiedział o swoich dokonaniach,

ale żeby przemówił do polskich słuchaczy po polsku. Bronił się, tłumacząc że nie znał już dobrze języka, ale w końcu się zgodził i audycja wypadła doskonale. Pamiętny wywiad radiowy ilustrowały moje przekłady dwu jego wierszy, które autorowi się spodobały i pamiętał o nich, kiedy go odwiedziłem w jego profesorskim pokoju w Montrealu. No, ale on słynął z ogromnej uprzejmości i wspaniałomyślności.

Należy może w tym miejscu przypomnieć, że trzy liryki Dudka w swoim przekładzie i z towarzyszącą notą ogłosił w paryskiej "Kulturze" (nr 157-158, 1960) Jerzy Niemojowski, emigracyjny poeta mieszkający w Londynie i wielki zwolennik poezji Ezry Pounda. Pracował on dorywczo w drukarni Oficyny Poetów i Malarzy Krystyny i Czesława Bednarczyków, która wydrukowała trzy tomy poezji Dudka: poemat "Europe" z ilustracjami Krystyny Sadowskiej w 1954 roku, "The Transparent Sea" w 1956 oraz "En Mexico" w 1958 z rysunkami Zygmunta Turkiewicza

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że to jednak polskie pochodzenie i związane z nim kultywowanie w domu literatury, a później przykłady wybitnych poetów takich jak Miłosz, utwierdziły Dudka w przekonaniu, że należało coś zrobić, żeby również społeczeństwo amerykańskie i kanadyjskie wspomóc w jego walce o zachowanie wartości kulturalnych, żeby przetrwała poezja i literatura, aby nie pozwolić na ich eliminację przez komercję, by nie były na tym kontynencie tylko towarem.

Wspominał, że już jako siedemnastoletni chłopak zauważył nieobecność literatury, a przynajmniej jej niską wartość. To kazało mu o nią walczyć, tak że w konsekwencji całe późniejsze życie profesora, krytyka i pisarza temu zagadnieniu poświęcił, aby przywrócić jej prymat i godne miejsce w cywilizacji.



Poeci montrealscy: od lewej Irving Layton (1912-2006), Frank R. Scott (1899-1985) i Louis Dudek (1918-2001).

Przy tym był realistą. Rozumiał, że nie wszystko da się uratować, że trzeba się liczyć ze stratami. Wziąłem udział w 1984 roku w ogólnokrajowej konferencji w Ottawie poświęconej językowi, kulturze i tożsamości w Kanadzie. Uczestniczył w niej także Louis Dudek. Wypowiadał się na temat literatur tworzonych na ziemiach Kanady w językach innych niż angielski i francuski, w tzw. językach trzecich, nieoficjalnych, mylnie nazywanych językami etnicznymi. Jego zdaniem, niektóre wybitne jednostki, które emigrowały do Kanady, stanowiły wyjątki przynależały bowiem bezspornie do swojej macierzystej kultury, natomiast przesadzone całe grupy przypominały mu rośliny w doniczkach, rosnące nienaturalnie, będące nie na swoich miejscach. Im nie wróżył rozwoju ale stopniowy uwiąd. Bo choć Kanada sama też przybyła z Europy, to poprzez kilka stuleci wytworzyła dwa odrębne, ale silne nurty literatury, które się z czasem samookreśliły, a ostatnimi czasy pozyskały również inne dopływy. Taką pierwszą odmienną grupę stanowili pisarze żydowskiego pochodzenia jak Klein, Layton, Richler czy Cohen, którzy zaczęli odgrywać ważną rolę na narodowej scenie. Zdaniem Dudka etniczne kultury zakorzeniają się dopiero wtedy, gdy stają się częścią kanadyjskiego nurtu i uczestniczą znacząco w jego artystycznym rozwoju. Warunkiem niezbędnym jednak jest przyswojenie sobie jednego z oficjalnych języków.

Wysiłek intelektualny i artystyczny tzw. nowych Kanadyjczyków, imigrantów bez filiacji brytyjskiej czy francuskiej, na niewiele by

się zdał, gdyby nie potrafili, jak Dudek, opanować mistrzowsko jednego z panujących języków, w jego wypadku, angielskiego. To dzięki niemu mógł on efektywnie polemizować, nie podzielać technologicznego optymizmu Marshalla McLuhana i jego najnowszej iluzji postępu, mógł się spektakularnie nie zgadzać z ewolucją platońskich konwencji uniwersalnej mitologii literatury Northropa Fry'a, potrafił gorliwie propagować literaturę kanadyjską tworzoną w języku angielskim i francuskim, żądał, by jej uczono w szkołach respektując obie tradycje. Biadał nad nieobecnością tego przedmiotu winiąc za ten stan rzeczy nauczycieli akademickich pochodzących z Wielkiej Brytanii i Francji a później Stanów Zjednoczonych. Perswadował, że to zaniedbanie świadczyło o kolonialnej mentalności i niewierze w dorosłość i kompetencję Kanadyjczyków.

Przestrzegał równocześnie przed szowinizmem narodowym, choć doceniał rolę poetów romantycznych, którzy w niektórych krajach spełniali konieczną funkcję społeczną (wymienił polskich wieszczów Mickiewicza i Słowackiego, pamiętanego zapewne z własnego dzieciństwa).

Zakończyla się druga wojna światowa po której na świecie nastąpiły wielkie przemiany społeczne. W Kanadzie odnowa kultury francuskiej i wzrost znaczenia różnych grup społecznych wyzwoliły witalność, która zdynamizowała piśmiennictwo kanadyjskie. Zachwiana została tradycyjna hegemonia klasy

średniej, zamiast kultu ograniczonej narodowości wychynęła perspektywa szerszych horyzontów. Żyjąc w Quebeku Dudek był świadkiem niebywałej ewolucji świadomości jego mieszkańców. Francuska Kanada z kopciuszka i obywatela drugiej klasy, doczekała się fermentu intelektualnego, który zadziwił swoją konstruktywnością i nowoczesnością. Nowe swobody i powszechne wzbogacenie wywołały euforię. Quebek udowodnił, że zdołał pokonać nie tylko rodzimą reakcję, ale także przeciwstawić się angielskiej Kanadzie, jako źródłu wszelkich swoich nieszczęść i problemów.

Jednak przed takim zawężeniem widzenia Dudek ostrzegał, przed dążeniem do konfliktu, utratą uświęconej energii na rzecz ciemnych sił mogących przynieść chaos. Uważał zabawy separatystów za igranie z ogniem. Wzywał do obrania innego kierunku i pielęgnowania wizji wielkiej Kanady, bogatej w dwa języki dające nieskończone możliwości artystycznego rozwoju.

„Zanieśmy bogi do nowego Lacjum" wołał. Ufał nowym, młodym pokoleniom, pełnym świeżej energii pozwalającej na rozsadzenie zmurszałych form. Prawdziwą drogę do wolności i ładu w przyszłości widział przy współudziale sztuki i poezji. Tylko wyobraźnia, odkrywanie istoty człowieka i jego relacji w świecie i wobec innych ludzi były, jego zdaniem, zdolne uratować przed zniewoleniem przez państwo, wyparciem przez maszynę i pogrążeniem w już się powszechnie szerzący upodlony tryb

życia.Wzywał do przeciwstawienia się siłom niweczącym życie.

Dychotomia barbarzyństwa i cywilizacji pojawia się wśród jego częstych tematów Poeta obawiał się zalewu pospolitości, która się wciska na każdym kroku w nasze gusta. Hołdujemy bieganiu za dobrami materialnymi zamiast walczyć o rolę sztuki. Zagraża nam barbarzyństwo. Nowy Świat może wypracować nową cywilizację lub stoczyć się w barbarzyństwo. Nowoczesna poezja może stać się barbarzyńska, albo dążyć do większej sublimacji, do pełniejszej ludzkości lub popaść w zdziczenie. Ostrzegał, że to, co się rodziło we współczesnej sztuce to, niestety, zbyt często krzyk, prowokacja, nienawiść, hałas, podczas kiedy cywilizacja zamiera, gdyż poniechała szukania ideałów ludzkich.

Już w 1946 roku Dudek wydrukował zbiór wierszy lirycznych „East of the City" poświęcony rodzinnemu miastu, ale dopiero doświadczenia amerykańskie i bliskie kontakty z Ezrą Poundem natchnęły go do napisania długich poematów, „Europe", „En Mexico", „Atlantis" i „Continuation"

Jego duży poemat „Europe", składający się z 99 członów, jest Dudka fizyczną i artystyczną podróżą do korzeni, by rozliczyć się z domem i puścizną ojców. Poeta jadąc do Europy pielgrzymuje do źródła cywilizacji, ogląda Anglię, Francję, Rzym i Grecję. Początkowe zachwycenie magicznym miejscom ulega wnet rozczarowaniu. Rzeczywistość ukazuje odmienną twarz.

Przezierają znamiona upadku i rozkładu. Dzisiejsze życie ekonomiczne niszczy to, co było najcenniejsze. I to go boli. Z każdego kraju poeta wyjeżdża rozczarowany. Ogląda Rzym i Grecję, gdzie wszystko się zaczęło. Nic go tam nie zatrzymuje. Postanawia więc wracać. Do Ameryki, do Kanady. Wszystko przecież może się znowu zacząć w Nowym Świecie. Podróż pokazała stagnację powojennego życia Europy, jej ruinę i upadek. Tam nie należało szukać przyszłości, ale w Ameryce, która może być odrodzeniem i kontynuacją marzeń człowieczeństwa, gdzie idea rozwoju ma większą swobodę, czucie, szerszy oddech. Wypatrujący nieskończonego widnokręgu, niedoceniony modernista kanadyjski, który przedkładał intelekt nad emocje, a potem schronił się w lakoniczność aforyzmu, zmarł 22 marca 2001 roku, do końca wierny, niestrudzony bojownik o rolę sztuki w życiu człowieka. Jego uczelnia ustanowiła doroczną nagrodę jego imienia za wybitność w nauczaniu, władze kanadyjskie odznaczyły go Orderem Kanady, zamkniętą twórczość poetycką i krytyczną zostawił rzetelnej ocenie przyszłości.

Louis Dudek

Europa 31

Nieuk współczesność bazgrała po przeszłości w Winchester;

amerykański błazen

rysował na dźwierzach

mówiąc” bla, bla” temu

prostokątnemu, dumnemu angielskiemu gotykowi.

Najpierw nie było nic, początki

były najtrudniejsze, potem, to co zrobili

było z tego co zaczęli.

Obojętnie. Teraźniejszość uformowana jest z pierwszych

obrobionych kamieni,

od Stonehenge do tego oto.

Wypisali swoje inicjały

obok umarłych. Nowi Anglicy

i Amerykanie błaźnią się na złotych dźwierzach.

Wewnątrz same kwiaty

i żłobkowane łodygi,

“Muzyka” powiedziałaś, i “Nie do wiary”,

ja powiedziałem,

że to z kamienia”, takie splątane

stawy

z białej kości, i strasznej czarnej

średniowiecznej magii.

Ale nie ma nic

Ale to nic w dodatkach z 19 wieku:

ostatnie rzeźby cmentarne

przy starszej, surowej, nornandzko gotyckiej

co nie starała się być piękna.

Tylko wierna.

Wierna czemu? Spójrz na moment

na wstrząsający grobowiec Richarda Foxa

pokazujący jego ciało

poszarpane cierpieniem i śmiercią,

by ci powiedzieć

– nie bądź nadto beztroski, nawet jeśli Bóg

nie jest szczególnie ważny,

pozostają kości, one są katedrą.

Lecz kilku turystów

nabazgrało nazwiska

na piersi Richarda Foxa

w miejscu gdzie szkielet przebija skórę.

Niech te dodatki zostaną

w Winchester.

Może czas pokaże

że takie błazny, jak rzeźbione zwierzęta

należą tam mimo wszystko.

Nie miałyby kamienia

na którym mogłyby tak wyraźnie pisać, gdyby nie ofiarowała im śmierć

swej kościstej piersi.

Dżungla

Czas ma swe kresy i swoje początki

koniuszek liścia i łodyga, skóra i wątroba-

przez które idzie tętno

bębnienia w ciszy dżungli,

gdzieś w drzewach krzyk

dzikiego ptaka dartego szponami

gdzieś wielkie koty parzą się , rycząc

z bólu, może z rozkoszy,

a cisza nie ma końca, słuchając bębnów

dzień po dniu o nowym początku

dzień po dniu udręka, może przyjemność

ale ponad tym niezmącona biel nieba

czekająca nad światem, aż ustanie ruch

i wchłoną go fałdy jego morza

pogrąży się w przestrzeni, gdzie wszystko co było

to dźwięk w głuchym uchu, lęk w zapomnianym śnie.

Epigramy

Niedawno temu mieliśmy pokolenie, które miało zbawić świat, ale nikt nie umie powiedzieć, co się z nim stało.

*

Dwa niewypały w komitecie potrafią przegłosować każdego geniusza.

*

Seks jest najtańszą formą twórczości.

*

Komputery mogą zastąpić człowieka, ale nigdy nie zastąpią

kobiety.

*

Porady małżeńskie przed małżeństwem zapobieglyby wielu małżeństwom.

*

Nie martw się, że wyglądasz staro. Ciesz się, że jeszcze wyglądasz.

*

Porażka jest dobrą zaprawą do sukcesu.

*

Wielki człowiek jest wielki tylko z odległości.

*

Marksowi się wszystko pomieszało. W miarę jak państwo staje się silniejsze, komunizm obumiera.

*

Zazdrość bardzo pochlebia, ale nie zawsze jest zasłużona.

*

Nuda powinna być krótka, bo życie nie jest długie.

*

Gdybyśmy znali prawdę o przyjaciołach, życie byłoby nie do zniesienia.

*

Większość ludzi zabija się, by związać koniec z końcem.

*

Można czuć się bardziej swobodnym z umarłymi, niż z żywymi.

*

Są jeszcze części Kanady w posiadaniu Kanadyjczyków, ale są one zbyt rozproszone, by tworzyły państwo.

*

Tylko hedoniści żałują, że życie jest krótkie.

*

Rewolucja jest dobra, póki nie zwycięży.

*

Ludzie, którzy szybko się nudzą, są albo ogromnie intelegentni, albo nie bardzo inteligentni.

*

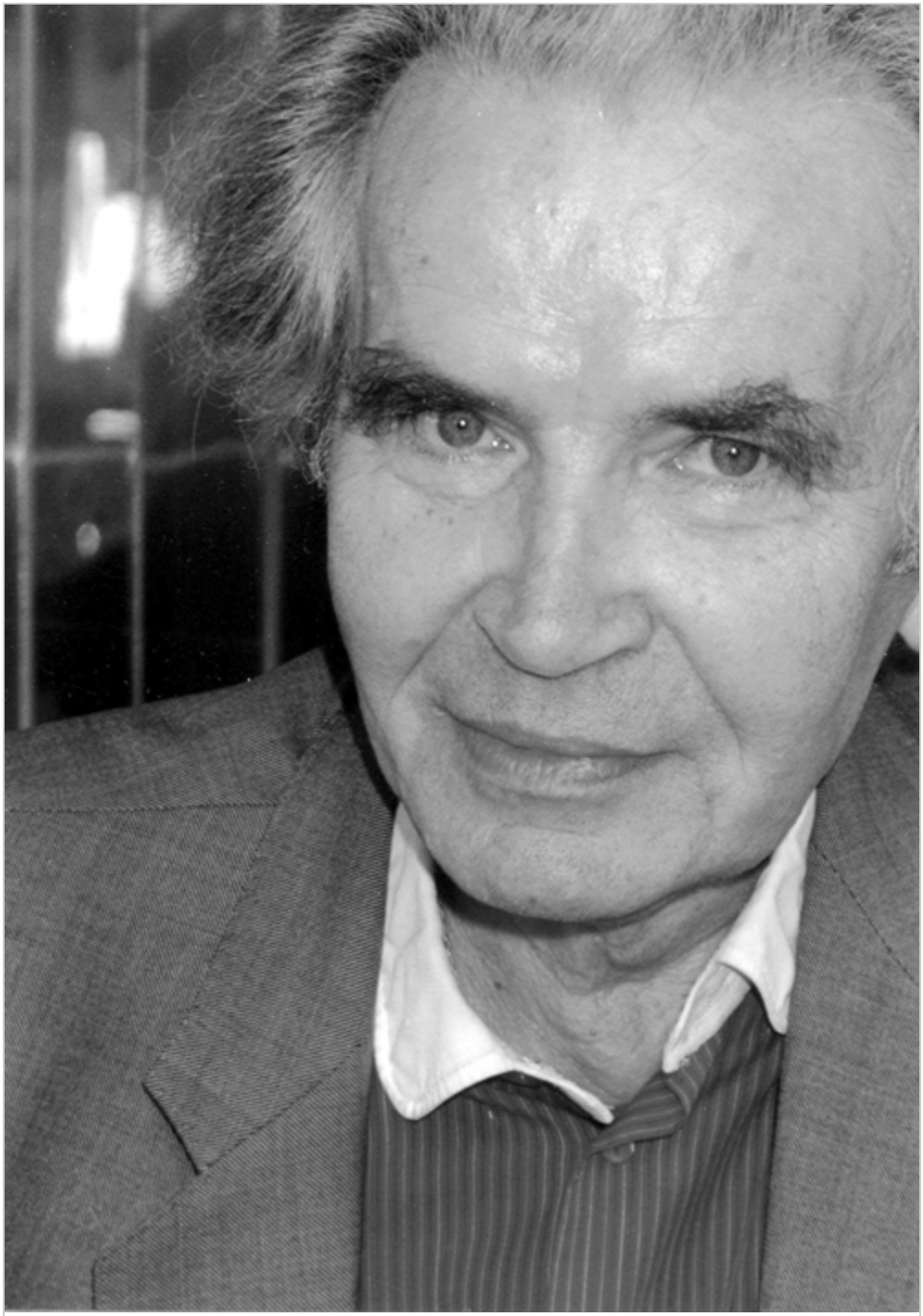
Nieporozumienie jest siłą twórczą w historii i w życiu jednostki.

*

Sława to tylko przywilej pozwalający obcym trapić człowieka.

Przełożył Florian Śmieja

Arriba Silesia. Wspomnienie o Jerzym Pietrkiewiczu (1916-2007).



Jerzy Pietrkiewicz

Florian Śmieja

Przed wybuchem wojny w 1939 roku wydał zaledwie trzy zbiory

poezji lecz to wystarczyło, by stał się w ciągu kilku lat bożyszczem młodzieży polskiej i głośnym poetą wsi spod znaku autentyzmu rozumianego jako dawanie świadectwa prawdzie przeszłości.

Wszelkie ówczesne plany pokrzyżowała wojna.

Po euforii młodzieńczych sukcesów literackich, Jerzy Pietrkiewicz przez Rumunię i Francję poszedł na emigrację. Znalazłszy się w Wielkiej Brytanii boleśnie odczuł nie tylko tragedię swojej ojczyzny, ale również grząskość ideologicznych pól, na które się wmanewrował. Klęska, tułactwo, zbędność w nowej sytuacji, nieprzydatność w wojsku, spowodowały jego wycofanie się w samotnictwo. Człowiek dotknięty tylu naraz niepowodzeniami, mógł być po prostu załamany, lizać rany i pogodzić się z wegetowaniem na bocznym torze.

Jednak to nagłe strącenie ze świecznika w odosobnienie dało mu dystans dla kontemplacji dramatu świata, który go nie potrzebował, umożliwił natomiast przemyślenie psychicznej sytuacji, pozwolił wyciągnąć wnioski ze stawianych prognoz. Pocieszał się myślą, że przyszłość odkryje to, co choć słabe, można ocalić a pewien był, że doceni go jego mała ojczyzna że *Ziemia Dobrzyńska rozumie ważność tego co zrobiłem*.

Oto znalazł się niespodziewanie wśród innych uchodźców w

obcym kraju w nieznanym mu społeczeństwie, postanowił więc najpierw gruntownie poznać jego język. Dostał się na studia anglistyki na jeden z czcigodnych uniwersytetów szkockich w St. Andrews nad Morzem Północnym. Tam wśród młodzieży ubranej w efektowne, czerwone togi studenckie przygotowywał się do przyszłej roli pedagoga, którą miał przez kilkadziesiąt lat pełnić w Londynie ku chwale swojej profesji i dla dobra postradanej ojczyzny. Po obronieniu doktoratu na King's College w Londynie, uzyskał lektorat języka polskiego u profesora Williama Rose'a, następcy wielkich polonistów Juliana Krzyżanowskiego i Wacława Borowego.

Po powrocie profesora Rose'a do Kanady, jego stanowisko wykładowcy literatury polskiej ofiarowano młodemu Pietrkiewiczowi. Obiął je z wielkim poczuciem wagi eksponowanej pozycji w centrum świata anglosaskiego. Był świadomy obowiązku oferowania studentom świeżego i atrakcyjnego obrazu polskiej kultury, zwalczania niedobrych stereotypów z nią kojarzonych, wykorzystania nabytych na uczelniach brytyjskich doświadczeń i metod. Odciął się od staromodnych, słabą angielszczyzną wierszowanych, ale tradycją uświęconych romantyków i śmiało sięgnął po skarby rzadko docenione wydobywając zdziwionym studentom wartości nie spodziewane. Przemyślnie dobieraną lekturę eksponował pisząc wnikliwe szkice, które po latach złożyły się na intrygujący tom pięknych prezentacji literatury polskiej. W ten sposób

wyodrębnione zostały m.in. „Treny” Kochanowskiego, jako wyjątkowej wartości wczesny pomnik poezji słowiańskiej, „Pamiętniki” Paska, poezja religijna Zbigniewa Morsztyna, „Pałuba” Irzykowskiego, „Sól ziemi” Józefa Wittlina i poezja Norwida.

Tak oryginalnie prezentowana literatura polska była chwytliwa i atrakcyjna. Pietrkiewicz umiał nie tylko zainteresować, ale i oczarować okazując się znakomitym nauczycielem i pośrednikiem, stał się jednym ze znaczących świateł, które w neuralgicznych punktach świata potrafiły rozniecić poważne zainteresowanie polską kulturą, podobnie jak to robili Lednicki, Terlecki, a poźniej Miłosz w Stanach Zjednoczonych. Tak jak oni, wychował zastęp ludzi gotowych nieść pochodnię, przygotował doskonałych tłumaczy. Pokazał zasadność obsadzania nielicznych placówek naukowych na Zachodzie jednostkami wyjątkowymi, które zostawią znaczący ślad swojej osobowości.

Po uzyskaniu doktoratu i zapewnieniu sobie stałego stanowiska wykładowcy na Uniwersytecie Londyńskim, Pietrkiewicz ustabilizował sobie życie związawszy się z Christine Brooke Rose, wybijającą się anglistką i pisarką. Mając takie oparcie, pokusił się o przejście na język angielski. Pamiętam, kiedy wydając powieść „The Knotted Cord”, oświadczył mi, że od tego momentu stał się pisarzem angielskim. Zaczął znamienny epizod pisania powieści w języku przybranym. I tak powstało osiem

powieści, częściowo eksperymentalnych, w języku angielskim. Pierwsza „The Knotted Cord" wiele zawdzięczała jego wojennej powieści „Po chłopsku".

Na ogół dobrze przyjęte przez krytykę angielską, która pochwaliła język jako poetycki, może nieco wydumany, dostrzegła humor i techniczną subtelność. Niektórzy Polacy obrażali się, że ich wyśmiał w „The Future to Let". Pochlebnie porównywany do Conrada autor realizował swoje marzenie, by mieć czytelnika, w tym wypadku, brytyjskiego. Zwierzał się, że lubił chodzić do czytelni publicznych i zaglądać do swoich książek, by czytać komentarze, które niektórzy czytelnicy pisali na marginesach książki. Wierzę, że była to pomocna korektura uczonych wywodów krytyków, z którymi Pietrkiewicz dyskutował w radiu i literackich żurnalach.

Chociaz stosunki Pietrkiewicza z władzami emigracyjnymi nie zawsze układały się pomyślnie, mimo, że atakował on je w swoich wypowiedziach, czuł potrzebę odwzajemniania niechęci, to po upływie czasu potrafił docenić walory duchowe swych niegdysiejszych adwersarzy i krytyków.

W czasie wieczoru autorskiego na naukowej konferencji w Toruniu w roku 2000 powiedział m.in.:

> Ja wyróżniam w ciele emigracji emigrację wojenną, ta stworzyła instytucje, owe instytucje dalej istnieją. Owszem, były kłótnie, bo Polacy się zawsze kłócą – napisałem satyryczną powieść o tym, ale ona potwierdza coś niebywałego w tych ludziach. Że kiedy mają opuścić tę ziemię, nie odchodzą jako niewolnicy. Nie są przegrani, oni wygrali. I to jest bardzo ważne. Reszta emigracji jest przypadkowa, zarobkowa i inna, co nie znaczy, że ja jestem przeciwko niej, niech ona będzie! Ale nie łączmy tych dwóch rodzajów emigracji, granica podziału jest bardzo wyraźna. Emigracja wojenna wiedziała czego chce.

Jeden z nowatorskich poetów polskich Pietrkiewicz jest również autorem frapującej opowieści o polskich mariawitach „The Third Adam", wydanej przez Oxford University Press oraz odkrywczych, krytycznych esejów literackich „The Other Side of Silence". Okazał się też doskonałym tłumaczem poezji Jana Pawła II na język angielski.

*

Poznałem Pietrkiewicza w 1946 roku w londyńskim British Museum. W latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w School of Slavonic and East Europea Studies. Potem pozostaliśmy w sporadycznym kontakcie korespondencyjnym do

końca.

Kiedyś na widokówce z Hampstead Pietrkiewicz napisał:

> Florianie Drogi, jakie to miłe, że napisałeś ze Śląska…Widzisz, te powroty do źródeł są ważne, bardziej sprawdzalne w psychice, niż freudojungowe rebusy wedle mody (moda mija).

Przed wojną odwiedził Katowice, gdzie poznał śląskich pisarzy z Wilhelmem Szewczykiem na czele. Jeszcze w Londynie w 1964 roku otrzymałem od Pietrkiewicza przesyłkę z adnotacją *załączam wycinek o Szewczyku (z 1946) – może Pan go przekazać Szewczykowi jeśli Pan zechce*. Na wieść, że chcę pisać o Szewczyku, replikował:

> Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta.

Ślązakowi śląskie anonimy polecam nakreślił na nadbitce z

czasopisma „Eos” z zacytowanymi pieśniami ze Śląska Cieszyńskiego.

W 1996 roku jego pocztówka donosiła:

> Dzień przed Twoim listem, dostałem też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał że chodziliście do tej samej szkoly w Tarnowskich |Górach. Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, to od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz. Stąd moje zaufanie do Ciebie niezmienne. Arriba Silesia.

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

> Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wrócić do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny, Pięćsetlecie statui w Skąpem (Maria-dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do

> 17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół był przepełniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80 lecie…
>
> Moja dobrzyńska więź to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna", „Ballady dobrzyńskie", „Piąty poemat" w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja" była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak ładnie się wokół mnie zamykają.

Ze wspomnieniami o Pietrkiewiczu uczestniczyłem w konferencji w Toruniu. Napisał:

> Cieszę się, że byłeś na konferencji- to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat. Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą-zamykają i otwierają.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie przez Giedroycia w

pożegnalnym numerze rozmowy Bolesława Taborskiego ze mną na temat tej konferencji.

> Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury”. To także ustawia w czasie.
>
> *

Urodzony w Fabiankach na Kujawach w 1916 roku, zmarł w Londynie w 2007 roku. Spośród nagród i odznaczeń najbardziej, sądzę, cenił sobie doktorat honorowy swojej szkockiej uczelni.

Trzysta lat mistyfikacji



XV-to wieczny Klasztor Klarysek w miejscowości Beja w Portugalii.

Florian Śmieja

Jadąc z Andaluzji do Lizbony zatrzymałem się w niewielkim portugalskim mieście Beja, w którego centrum wznosi się piętnastowieczny Klasztor Klarysek. Jego sława dobiegła mnie przed wieloma laty, więc postanowiłem zwiedzić go po drodze i zobaczyć celę jego najgłośniejszej mieszkanki, siostry Marianny Alcoforado, zakonnicy, której przypisano autorstwo listów miłosnych, w których rozczytywała się Zachodnia Europa a

zwłaszcza Francja i Hiszpania przez trzy wieki.

> Ta Twoja nagła ucieczka, którą ból mój jakkolwiek tak wynalazczy w środkach nowych cierpień, nie jest zdolen w całej doniosłości jej smutku dostatecznie określić, zaliż to mi po wszelką wieczność nie dozwoli ujrzeć tych oczu, w których tyle miłości widziałam, które mnie nauczyły odczuwać rozkosze, jakie mi się stały nieskończoną błogością, zastąpiły wszelkie inne uczucia, a mówiąc szczerze – całą mnie wypełniały.
>
> Moje biedne oczy straciły w twoich jedyne światło, które mi życie i krasę dawało; pozostały im tylko łzy, a nie znam innego z nich pożytku, jak tylko płacz, ustawiczny płacz, odkąd się dowiedziałam, żeś postanowił tę straszną rozłąkę, która niezadługo mą śmiercią się stanie.
>
> A nagle: jednakoż zdaje mi się, jakoby, mnie coś ciągnęło do cierpień, których Ty jeden jesteś przyczyną. Całe moje życie Tobie poświęciłam od pierwszej chwili, w której oczy moje na Tobie spoczęły, i odczuwam tajemną rozkosz Tobie je w ofierze złożyć.
>
> Westchnienia moje wybiegają za Tobą po tysiąc razy na dzień, a nie dają mi żadnego ukojenia – biedne westchnienia

> moje nic dać Ci nie mogą prócz świadomej pewności mego nieszczęścia, które mi żadnej nadziei nie pozostawia i wiecznie to samo powtarza: „Przestań wreszcie, przestań biedna Marianno, przestań się tak daremnie wyczerpywać! Dość już westchnień, płaczu i żalów za kochankiem, którego nigdy już nie ujrzysz, który poza morze popłynął, by od Ciebie uciec – kędyś do Francji, a teraz opływa w przyjemnościach i rozkoszach i ani na sekundę nie pomyśli, że Ty cierpisz, i rozgrzesza Cię z uczuć, za które na żadną podziękę dla Ciebie zdobyć się nie może”.

Te fragmenty pierwszego listu pochodzą z tomiku “Listów miłosnych” Marianny Alcoforado wydanej w serii Jednorożca. Stanowią one fascynującą lekturę uchodząc nie tylko za wizerunek stanów serca portugalskiej zakonnicy, ale także za perłę literatury spowitą w atrakcyjną tajemniczość. Tak przynajmniej było do niedawna. Wersja polska doczekała się kilku wydań a sporządził ją nie byle kto, bo Stanisław Przybyszewski i przekład poprzedził pasjonującym wstępem.

Wydane anonimowo w Paryżu w 1669 roku jako “Listy portugalskie” uchodziły za tłumaczenie z języka portugalskiego pisane przez nieznaną autorkę do wysokiego stanu kawalera, którego następna edycja wymieniła jako Chevaliera de Chamilly. Ponieważ książeczka stała się ogromnie popularna, sprytny

wydawca dołączył listy pisane przez kogoś innego oraz odpowiedzi adresata. Z biegiem czasu zatraciło się rozróżnienie głównie z powodu braku sumienności edytorów i zatraty literackiego smaku u czytelników. W krótkim czasie rozeszło się czterdzieści wydań.

Oczywiście, zaczęto dociekać tożsamości bohaterów "Listów'. Amanta – adresata tak charakteryzuje Saint-Simon:

> Chamilly był w rzeczywistości tęgim i dość dobrze zbudowanym mężczyzną; ale równocześnie był bardzo grubiański i tak głupi, tak ciężki na umyśle, że gdy się na niego popatrzało i jego bredni słuchało, człowiek nie tylko że nie był w stanie pojąć, by się w nim jakaś kobieta rozkochać mogła, ale nawet wątpić należało, iżby mógł posiadać jakiś talent wojenny. Jeżeli zrobił w ogóle jakąś karierę mimo swej potwornej głupoty, to zawdzięcza to jedynie swej żonie, mądrej i rozgarniętej osobie. Znając dokładnie wartość swego męża, pani Chamilly na krok go nie odstępowała, wszystko za niego robiła, a on nawet tego nie miarkował.

Pochodził ze starej burgundzkiej rodziny i od młodych lat służył w wojsku. Jako rotmistrz szwadronu jazdy stał w portugalskim miasteczku Beja. Tam to, słowami Przybyszewskiego,

> był klasztor Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia, klasztor, w którym dwudziestosześcioletnia Marianna Alcoforado miała utracić cichy, pogodny spokój duszy, w jakim, jak sama opowiada, dotychczas żyła, stracić go na zawsze przez lekkomyślnego junaka, zjadacza serc niewieścich, trzydziestoletniego kapitana zaciężnego wojska francuskiego.

A nieco dalej notując obserwację Saint-Simona o zakonnicy, która z miłości ku niemu oszalała, powie:

> Rozumiem całe zdziwienie Saint-Simona, ale nieśmiertelna historia Tytanii z osłem powtarzała się zawsze i powtarzała się będzie. Tej bezbrzeżnej głupocie, chełpliwości i beztaktowi marszałka Chamily mamy do zawdzięczenia jeden z najwspanialszych dokumentów duszy kobiecej w całym jego obłędzie miłosnym, jej bezbrzeżnej rozpaczy po utracie kochanka, jej nadludzkich uniesień i przepastnych upadków.

Dopiero w 1810 roku padło nazwisko autorki listów. Brissonade znalazł dopisek na edycji z 1669 roku: *„Zakonnica, która te listy pisała, nazywa się Marianna Alcoforado, z klasztoru w Beja, pomiędzy Ekstremadurą a Andaluzją”*. Chociaż rodzina

Alcoforadów była poważana i zasłużona, dopiero listy Marianny przydały jej najwyższego splendoru i przysporzyły światowej sławy.

W owych czasach w klasztorze mieszkały nie tylko mniszki z powołania, które służbie Bożej poświęcały życie, ale często również kobiety szukające schronienia. Posiadając majątek urządzały się z przepychem i wygodą. Swobodne kontakty ze światem za murami klasztoru nie dawały budującego przykładu, a niekiedy wywoływały skandale i głośne procesy. Tak pojęta epoka łatwo wytłumaczy szczegóły zawarte w listach. Przybyszewski widzi zakonnice, a wśród nich Mariannę, swobodnie przyglądające się wojskowej paradzie,

> na której czele harcował dorodny Chamily na ognistym rumaku. I to istotnie było jej zgubą i straszną tragedią. Spojrzał na nią i w tej samej chwili rozpalił w jej sercu ogień piekielnej miłości.

Okres miłosnego upojenia nie trwał wszakże długo. Kochanek pewnego dnia wsiadł na statek i wrócił do Francji. Na listy wpierw nie odpowiadał, potem pisał zdawkowo. Marianna zdobyła się na ogromny wysiłek, aby piątym listem pożegnać go na zawsze.

> Nic już więcej sobie od Waćpana nie życzę. To prosty obłęd, że Mu to tak często i tyle razy powtarzam. A jest konieczne, bym wybiła sobie Pana z myśli i pamięci i całkiem o Nim zapomniała.
>
> I nawet wierzę w to, że już nigdy do Niego nie napiszę.

Za wszelką cenę Marianna postanowiła sobie przywrócić równowagę ducha i uspokojenie, albo targnąć się na swoje życie. Nie umarła jednak z miłości. Prócz udręki i męczarni spadła na nią infamia. Badacze jej losów na próżno szukali w rodzinnych dokumentach choćby najdrobniejszej wzmianki. Jej brat Baltazar, towarzysz broni Chamilly' ego wstąpił do stanu duchownego: cóż prostszego jak zobaczyć w jego nagłym kroku skruchę za rolę jaką mógł był odegrać pośredniczący w miłosnym stosunku Francuza z siostrą. Starszy brat oddał córki do innego klasztoru: czyż nie lękał się złego przykładu siostry? A Marianna, mimo gorącego oddania się służbie Bożej, mimo dobroci i łagodności, pozostała na uboczu i w cieniu. Umarła w 1723 roku – czterdzieści lat później – po cierpieniach i chorobach w łasce i przytomności umysłu.

Tymczasem "Listy portugalskie" zdobywały sobie coraz większą poczytność zarówno wśród szerokich rzesz czytelniczych, jak wśród elity intelektualnej. Po dziś dzień fascynują swoją

niecodzienną mocą:

> Ja biedne dziecko człowiecze! Takaż to zapłata, którą mi się odwdzięczasz za to, żem Cię tak gorąco ukochała?
>
> Ale wszystko mi jedno. Postanowiłam ubóstwiać Cię przez całe moje życie i nikogo więcej nie pokochać. I to jedno Ci powiem: dobrze zrobisz, jeżeli i Ty żadnej innej nie pokochasz.
>
> Zadowoliłbyś się może miłością mniej gorącą od mojej? Być może, że znalazłbyś kobietę piękniejszą ode mnie – a przecież mówiłeś kiedyś, że jestem piękna – ale żadnej nie znajdziesz, która by Cię tak gorąco kochała jak ja, a ta reszta – to wszystko poza tym, to głupstwo i marność.

Przy pożegnaniu z równą mocą zabrzmi poczucie godności jak rozumienie sytuacji i żal za utraconą miłością.

> Chciałabym raz jeszcze do Waćpana napisać, aby Mu udowodnić, że po niejakimś czasie przecież się trochę uspokoiłam. Jaką rozkosz mi to sprawi, że będę mogła Mu w oczy cisnąć wyrzuty za Jego niegodziwe zachowanie się, wtedy gdy już mi mniej serce krwawić będzie; pokazać Mu,

że Nim pogardzam, że mówię o Jego zdradzie z najgłębszą obojętnością, że zapomniałam o wszystkich mych rozkoszach i udręczeniach i że nigdy o Nim nie myślę prócz wtedy, gdy zechcę.

Przyznaję, że Waćpan miał wielką przewagę nade mną i żeś mnie zniewolił, iż Cię aż do obłędu pokochałam, ale nie masz się znowu czym tak bardzo pysznić. Byłam młoda, łatwowierna, zamknięto mnie tu w klasztorze od dzieciństwa; widziałam wokół siebie tylko nieprzyjemnych ludzi; nigdy nie słyszałam tego rodzaju pochlebstw, jakimiś mnie Waćpan bezustannie zasypywał; zdawało mi się, że Jemu zawdzięczam ten wdzięk i piękność, którąś we mnie odnajdował, i na którą oczy moje otworzyłeś; słyszałam o Waćpanu li tylko rzeczy pochlebne, czyniłeś Waćpan wszystko, by tylko miłość we mnie rozbudzić. Ale teraz wydobyłam się z tego zaczarowanego koła: Waćpan przysłużył mi się ogromną pomocą, a szczerze się przyznaję, że potrzebowałam jej w najwyższym stopniu. Jeżeli teraz odsyłam listy Waćpana, to te dwa ostatnie, któreś mi napisał, chować i w nich rozczytywać się będę bez końca, daleko gorliwiej aniżeli w pierwszych. To będzie moją obroną przed dawną słabością. Ale jak drogo mnie one kosztują i jak bym pragnęła, abyś był zezwolił, abym Cię nie była przestała kochać.



Wnętrze Klasztoru Klarysek w Beja w Portugalii.

“Listy portugalskie” porównano do pięciu aktów klasycznej tragedii. Wzruszająco piękne tworzą historię uczucia kobiety, która zacząwszy od optymistycznej wiary, w końcu widzi jasno swoją pomyłkę: kochała nie mężczyznę, ale miłość samą. “Listy” ceniono od początku za prawdę i za kunszt.

Ale od początku zaistniały też pewne wątpliwości i odzywały się głosy sceptyczne. Krytyk francuski Barbey d’Aurevilly argumentował z katolickiego punktu rozumienia sytuacji domniemanej autorki. Jego zdaniem taka nienaturalna pasja zakonnicy do mężczyzny musiałaby w relacji autobiograficznej znaleźć odpowiedni kształt czegoś monstrualnego, szalonego i

bez precedensu tragicznego. “Listy portugalskie” natomiast krytyk odbierał jako po prostu historię zakochanej kobiety opłakującej opuszczenie kochanka bardzo przypominającą inne historie sentymentalne. Jednak największym sceptykiem okazał się Jan Jakub Rousseau. Jego zdaniem “Listów” nie tylko nie napisała zakonnica, ale nawet żadna inna kobieta. Z jakim triumfem cytuje Przybyszewski słowa tego mizogenisty, aby następnie wytoczyć przeciwko niemu ciężkie działa portugalskiej krytyki.

Rousseau napisał:

> W ogólności kobiety nie ukochały żadnej sztuki, nie znają się na żadnej i nie mają żadnego geniuszu. Coś im się uda czasem w małych rzeczach, które nie wymagają nic innego nad pewną lekkość umysłu, smaku, wdzięku, czasami nawet trochę filozofii i rozumowania. Mogą sobie zdobyć wiedzę, erudycję, talenty i to wszystko, co się zdobywa za pomocą pracy. Ale tego ognia niebieskiego, który rozgrzewa i obejmuje duszę – geniuszu, który pochłania i pożera, tej palącej wymowności, tych przesłodkich ekstaz, które wnikają swą rozkoszą do głębi duszy, tego wszystkiego nie znajdziesz w pismach kobiet: są one zimne i ładne, jak ich twórczynie: będziesz podziwiał giętkość i wydatność umysłu, ale nigdy nie natrafisz na ślad duszy. Ujrzysz je sto razy więcej

> rozdrażnione aniżeli roznamiętnione. Nie umieją one opisać ani czuć miłości…
>
> Mógłbym się założyć o wszystkie skarby świata, że “Listy portugalskie” były pisane przez mężczyznę.

Tymczasem jednak pozory zdawały się mówić co innego. Odkąd Boissonade ogłosił, że na jego egzemplarzu “Listów portugalskich” znajdowała się współczesna notatka podająca nazwisko autorki, inni doszukali się tego nazwiska wśród zakonnic konwentu Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej w Beja. Znaleziono też dowody na to, że Doña Brites była dobrodziejką tego klasztoru w 18 wieku.

W obliczu tych dowodów zgodzono się traktować dziełko za autentyczne, w Portugalii zaś powitano je jako arcydzieło rodzimej literatury i z braku „oryginału” sporządzono przekład na portugalski rekonstruując język epoki. Tymczasem “Listy portugalskie” w języku francuskim nawet najbardziej renomowane biblioteki relegowały do działu przekładów. W patriotycznej euforii dyplomata i historyk literatury Sousa-Botelho stwierdził, że *„każdy Portugalczyk albo jakikolwiek dobry znawca tego języka ani na chwilę wątpić nie będzie, że te pięć listów prawie dosłownie zostały z portugalskiego oryginału przetłumaczone”.*

Znawca „nagiej duszy”, Przybyszewski opierając się na tych wszystkich argumentach stwierdził dobitnie, że nie można było przyrównać tekstów pisanych przez wyszukanych stylistów epoki z *„tak strasznie szczerymi, pisanymi krwią z bólu oszalałej zakonnicy”*. Dopatrzył się również w “Listach” *„duszy bez obsłonek, bez frazesu, z niesłychaną szczerością i prawdą”*. Cytując słowa Remy de Gourmont, że “Listy” są *„arcydziełem miłości kobiety”* dodał *„i rzeczywiście nie znam w całej literaturze nic, w czym by dusza kobiety tak do naga się odsłoniła w swej bezdennej rozpaczy miłosnej, swej dumie i poniżeniu, w swej zachłanności, zazdrości i pokorze”*.

W oparciu o te wszystkie racje, o pochopnie odczytaną intencję i małą znajomość klasyków francuskich polski satanista doszedł do przekonania, że autorką była istotnie kobieta, i że Rousseau zakład przegrał.

Tymczasem w 1926 roku na scenie pojawił się nowy szermierz o prawdę, profesor F.C. Green. Podważył on szereg twierdzeń tyczących historycznej Marianny Alcoforado i wskazał na rozbieżności w “Listach”. Największą jednak jego zasługą było odwołanie się do oryginalnego przywileju na mocy którego ukazało się pierwsze wydanie “Listów” z 1668. Nie ma tam wcale mowy o tłumaczu, ale o autorze, którego nazwisko podano jako „Guilleraques”.

Krytyka francuska nie lubiąca ingerencji obcych naukowców w sprawach literatury, nie przyjęła wywodów Greena. Dopiero w roku 1962 uczeni M. Deloffre i M. Rougeot poddali "Listy" badaniom stylistycznym i doszli do wniosku, że charakteryzował je sposób pisania i debatowania pisarzy tworzących salon Madame de Sable, wśród których był także Gabriel de Lavergne, Vicomte de Guilleraques, u schyłku życia ambasador Ludwika XIV w Konstantynopolu. Ponieważ równocześnie wyszło na jaw, że drugie dziełko wymienione w przywileju było autorstwa Guilleragueʼa, a w rozszyfrowanym współczesnym tekście mówi się o nim jako o autorze listów miłosnych, sprawa została definitywnie przesądzona. "Listów portugalskich" nie napisała portugalska zakonnica Marianna Alcoforado. Nie napisała ich również żadna inna kobieta. Wyszły spod pióra mężczyzny, którego anonimowy druk z 1669 roku określił jako *„przystojnego, o żwawym dowcipie, doskonałego kompana. Cechowała go rozległa wiedza i pisał doskonałe wiersze, a także listy miłosne*".

"Listy" nie były więc naturalną wypowiedzią miłości i bólu porzuconej zakonnicy z Beja, ale tworem literackiego zamierzenia francuskiego arystokraty. Dotychczasowy nacisk na autentyzm "Listów" przesłaniał postrzeganie ich znakomitego artyzmu. Teraz nareszcie będzie je można czytać pod kątem widzenia analizy duszy kobiecej oscylującej między nadzieją i rozpaczą, a zdobywającą się w końcu na zaprzestanie korespondencji. Niszcząc piękną legendę, uczeni odsłonili

arcydzieło psychologicznej introspekcji i sztuki stylistycznej.

Kiedy w mieście Beja kustosz muzeum opowiadał spokojnie o portugalskiej zakonnicy jako o autorce, której sława obiegła świat, nie oponowałem. Stałem bowiem w miejscu, gdzie żyła legenda. A legendy bywają piękniejsze od rzeczywistości. I trwalsze.

Portugalskie rekonesanse



Lizbona

Florian Śmieja

Wybierając się przed laty z grupą kanadyjskich studentów na kurs do Sewilli, napisałem o tym zamiarze do Feijó. Odwrotną pocztą przyszła kartka. *„Sewilla blisko – czy nie zajrzy Pan do Portugalii i do naszej samotni”*. Zapraszała Maria Zielińska 31 maja 1988 roku.

Byłem w Portugalii już dwukrotnie przedtem, raz, by zobaczyć Fatimę, o której przetłumaczyłem książkę, a nie znałem miejsca z

autopsji. Drugim razem wybrałem się z całą rodziną, żoną i czworgiem dzieci, samochodem z Torremolinos pod Malagą, gdzie mieszkaliśmy przez pół roku w 1975, do podlizbońskiej miejscowości Feijó, z jej polską stanicą, odkąd osiadła w niej zaprzyjaźniona z nami od londyńskich jeszcze czasów Maria Danilewiczowa Zielińska. Była to pamiętna wyprawa.

Na Półwyspie Iberyjskim nastały wówczas dramatyczne czasy. W Portugalii nastąpił przewrót polityczny. W Hiszpanii obserwowano zajścia w sąsiednim kraju ze szczególną troską. Pojechałem do Madrytu z Malagi, bo czekała mnie ważna kwerenda w Bibliotece Narodowej. Akurat w tym dniu w Portugalii nie udała się próba zamachu stanu wskutek czego grupa oficerów, z niedawnym bohaterem gen. Spinolą na czele, musiała się schronić na terytorium Hiszpanii. Popijając czerwone wino z Józefem Łobodowskim komentowaliśmy aktualne wydarzenia i zamknięcie granicy portugalskiej. Mój rozmówca zauważył przy tej okazji żartem, że cała ta afera doskonale ilustrowała różnicę między charakterem Portugalczyków a Hiszpanów. Podobne wypadki pociągnęłyby w Hiszpanii wielu zabitych, podczas gdy w Portugalii skończyło się na kilkunastu poturbowanych. Pomyślałem, że taka powściągliwość świadczyła dobrze o ludziach. Więc warto było zaryzykować podróż.

Hiszpańskie gazety skwapliwie powtarzały każdą sensację, ale o normalizacji i ponownym otwarciu granicy zupełnie jakoś

zapomniały. O ile pamiętam, nieczynne były telefony. Tym niemniej postanowiliśmy zaryzykować i pojechać zobaczyć na własne oczy sytuację i odwiedzić panią Marię.

Spakowawszy rzeczy potrzebne do campingu, ruszyliśmy przez góry oddzielające Malagę od żyznej równiny ciągnącej się po Cordobę, Sewillę i Huelvę. Zostawiliśmy na boku ładne historyczne miasteczko Antequerę z jej dolmenami w bezchmurny dzień marcowy i puściliśmy się do Osuny z jej monumentalnym zamkiem i kościołem oraz dawnym uniwersytetem. Po drodze, w miarę jak się posuwaliśmy, zmieniały się gleby: czerwone mieszały się z płowymi, nieomal białymi, i czarnoziemem. Jechaliśmy przez kraj latyfundiów i mijali ogromne majątki, przeważnie gaje oliwkowe i pastwiska, ale także pokaźne łany zbóż. Przejechaliśmy przez rzekę Guadalquivir, a następnie Rio Tinto i zalew morski, znaleźli się w Moguer, na ziemi Juana Ramóna Jiméneza i jego potyckiego osiołka „Srebronia”, a w Palos pokłoniliśmy się pomnikowi Kolumba w miejscu, skąd ruszył on na odkrycie Ameryki. W Huelvie w gaju sosnowym zrobiliśmy postój. Nękały już komary, ale grały świerszcze i była ciepła noc z ogromnym wiosennym księżycem.

Dalej jechaliśmy przez urocze gaje eukaliptusowe, łąki kwitnące i dorodne łany pszenicy już w kłosie.

W Ayamonte załadowaliśmy się na prom, którym przeprawiliśmy się przez szeroką rzekę Guadianę do Villa Verde Ficalho. Tam, po skrupulatnej inspekcji celnej, wpuszczono nas do Portugalii, a my ochoczo ruszyliśmy wśród łagodnych pagórków na północ.

Od momentu wjazdu rzuciła nam się w oczy ogromna ilość plakatów propagandowych i napisów na murach i ścianach, na drogowskazach i mostach, na balustradach, kościołach i domach. Te slogany i niezdarnie malowane emblematy – najczęściej sierp i młot, gwiazda albo pięść zaciśnięta – czerwoną farbą kalały jasną biel zabudowań, świadcząc dobitnie o kulturze sprawców. No, ale były one symptomem politycznej walki, wielkiej szansy komunistów, by przechwycić władzę po epoce dyktatury. Zalegalizowane nowo powstałe partie imały się różnych sposobów, by zdobytej rewolucyjnie władzy nie oddać, a za miesiąc przy urnach wyborczych przypieczętować stan posiadania. Ponieważ w kraju istniał znaczny analfabetyzm, wiedziano, że wyborca będzie głosował na symbole, stąd więc ten pęd do unaocznienia tych wszystkich groźnych idei.

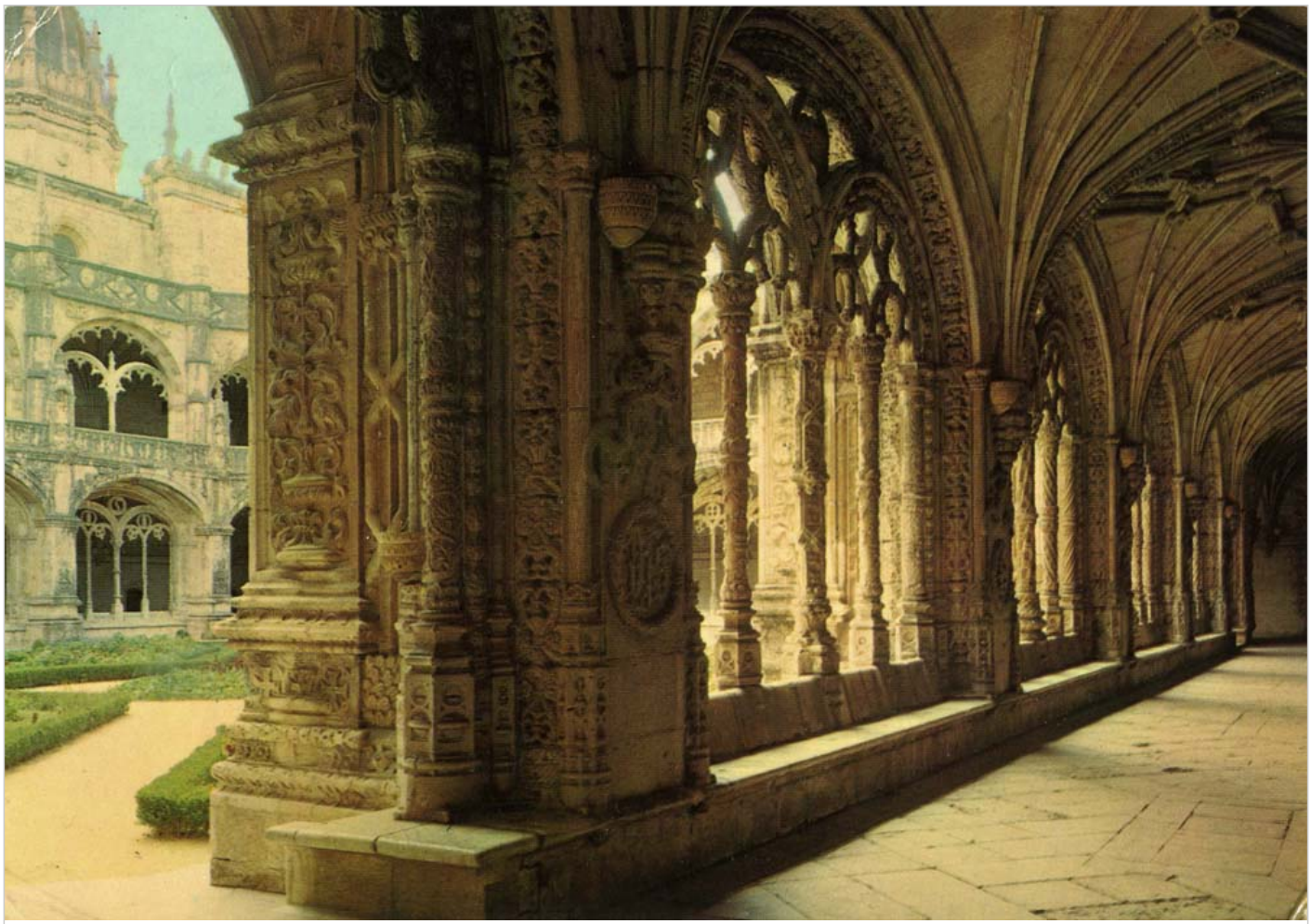
Jechaliśmy krajem biednym i słabo zaludnionym. Stepy, lasy, oliwki, niekiedy lasy eukaliptusowe. Czasem spośród zieleni wyskakiwała bielutka miejscowość, jak np. Merola. Kiedy skończyły się pagórki, a zaczęła żyzna, zielona równina, pokazało się na wzgórzu miasto Beja.

W tamtejszym klasztorze zwiedziliśmy muzeum z pamiątkami po matce Mariannie Alcoforado, domniemanej autorce słynnych „Listów portugalskich”, opublikowanych w Paryżu w 1669 roku pięciu listów miłosnych tłumaczonych na wiele języków, m.in. na polski przez Stanisława Przybyszewskiego. Aczkolwiek udowodniono w ubiegłym wieku, że ich autorem był w istocie pisarz francuski, a nie żadna portugalska zakonnica. Kustosz muzeum opowiadał o autorce listów miłosnych, „której sława obiegła świat”. Nie oponowałem. Stałem bowiem w miejscu, gdzie żyła legenda, a legendy bywają piękniejsze niż rzeczywistość. I trwalsze.

Przez przemysłowy Setubal dotarliśmy do peryferii Lizbony, do stóp wspaniałego mostu, ongiś noszącego imię Salazara, teraz 25 kwietnia.

Aczkolwiek anonimowy polski podróżnik z 1595 roku zanotował, że Lizbona to *„jest miasto wielkie nad rzeką Tagus…Ma port która to rzeka czyni i w wielkości i w możności w zacności najprzedniejszy we wszystkim chrześcijaństwie”…* to niespodziewanie dodał, że *„lud w tym mieście bardzo bogaty, ale samo miasto plugawe, ciemne, ciasne*”. Był on bez wątpienie zbyt surowy. Bo Lizbona to miejsce o wielkich tradycjach, które już przez Rzymian zostało wyniesione do godności miasta. Fenicjanie, Kartagińczycy, Rzymianie, Wizygoci i Arabowie poznali się na strategicznym jego położeniu, a w 1147 roku

zdobył je pierwszy król Portugalii, Alfonso Henriques.



Lizbona, Klasztor Hieronimitów.

Dziś jest to nowoczesna stolica o ponad milionie mieszkańców. Z dawnych zabytków architektonicznych, oprócz zamku, katedry i klasztoru Hieronimitów, niewiele przetrwało pamiętne trzęsienie ziemi. Śródmieście zostało dlatego gruntownie przebudowane Rozciągnięte na siedmiu pagórkach miasto zachwyca przepięknymi widokami, które z każdego miejsca biegną aż po lazur Tagu szerokiego jak morska zatoka. W Lizbonie uczciliśmy

jeden z bardziej cenionych pomników architektury manuelińskiej, wieży w Belen, w której więziono m.in. gen. Bema, i pomnik postawiony dla uczczenia pięćsetlecia księcia Henryka Żeglarza, inicjatora epopei wielkich odkryć portugalskich zaznaczonych na ogromnej mapie świata – idzie się przez nią do pomnika stojącego na samym brzegu.

Chodziliśmy uliczkami, oglądając wszędzie zeszpecone plakatami wyborczymi i nabazgranymi napisami budynki. Wszędzie można było nabyć cały asortyment „nowych dewocjonaliów": podobizny Marksa, Lenina, Mao Tse-tunga i Che Guevary na broszkach, lusterkach, popielniczkach. A obok tego zatrzęsienie publikacji pornograficznych na każdym kroku, co wyglądało w tym kontekście iście groteskowo.

Oddychaliśmy niemiłą atmosferą nasyconą jakimś oczekiwaniem i czymś niewiadomym, a równocześnie łagodzoną miękkim charakterem Portugalczyków, którym zazdrościliśmy miłego zwyczaju zamykania sklepów i biur w porze obiadowej, tak że ludzie mogli się przechadzać po chodnikach lub grzać na słoneczku w niespodziewanej sielskości.

Po drugiej stronie rzeki, w zaszytym wśród drzew i krzewów uroczym domku o podwórzu okolonym pachnącymi frezjami, odnaleźliśmy Marię i Adama Zielińskich. Ich siedziba, pełna książek, obrazów, sztychów i starych map Polski, stanowiła istny

przybytek polskości w samym sercu Portugalii. Długoletnia i dynamiczna kierowniczka Biblioteki Polskiej w Londynie, redaktorka, pisarka i krytyk, tam znalazła schronienie i nowy warsztat pracy, gdzie mogła kontynuować wierną służbę dla polskiej kultury. Mąż jej, od lat zbierający teksty ilustrujące polsko-portugalskie stosunki kulturalne, przygotowywał je do druku.

Zgotowano nam wspaniałe przyjęcie, a nasze dzieci poznały smak staropolskiej gościnności dworku polskiego, kiedy na stół wjechała cenna zastawa i rodzinne srebra.



Maria Danilewicz Zielińska

I tak, mimo niepokojów i politycznych ruchawek, wizyta się odbyła spokojnie, a po niej wróciliśmy do Hiszpanii zadowoleni, że nie stchórzyliśmy, a może zawieźliśmy nieco otuchy oblężonemu krajowi, w którym zaroiło się nagle od najróżniejszych zawodowych talibów lewicy z całej Europy.

Istotnie, nadchodziły z Feijó słowa kojące: *„Żyjemy nadal spokojnie, burze przechodzą bokiem, a chwilami rozjaśnia się – niestety, na krótko, bo jak na taśmie fabrycznej nadjeżdża natychmiast jakaś nowa sensacja”*. Do listu państwo Zielińscy dołączali, zaproszenie mające się powtarzać w dalszej korespondencji: *„Ciągle jeszcze mam nadzieję, że na trasie dalszej wędrówki znajdzie się znów Portugalia i Feijó”*. *„A może będą Państwo wracać przez Lizbonę i Feijó”*?

Rok później pani Maria donosiła z ulgą:

> Bardzo się tu uspokoiło, choć nie jest to powrót do tego, co było przed kwietniem 1974 – już prawie dwa lata temu. Zaczęły się trudności ekonomiczne, ale jakby już przezwyciężane. Pojawiają się nawet lekko wystraszeni turyści. A pogoda na medal: kwitną mimozy, storczyki, kliwie itd.

***



Sewilla

Drugi rekonesans również zaczął się w Sewilli, która wyprawiła barwne, kryte wozy pątników na doroczną ferię El Rocío. Kątem oka mogłem jeszcze dostrzec uroczystości ślubne rodziny księcia Alba, przystrojoną w czerwone dywany katedrę, ponad tysiąc gości, śliczne konie, a niedługo potem pola słoneczników, pastwiska i gaje oliwkowe, wspaniały zamek warowny w Aracena. To kresy Hiszpanii i bezludzie, rzadko odwiedzane zakątki Ekstremadury, gdzie rodzi się odrębność. Mnożyły się ufortyfikowane miejscowości wśród dębów korkowych na szczytach górskich Cortegana, Aroche, a wszędzie bociany i chmary jaskółek. Na granicy w Ficalho napis głosił, że było jeszcze 238 km do Lizbony. Dzień był przepiękny, ciepły i pełen

rozśpiewanego ptactwa. Autobus szybko dotarł do Beja po przejechaniu przez rzeką Guadianę. W Gradola postój wśród sosen i dębów korkowych, eukaliptusów, ziemia żółta, też urodziwa. Nad wysoką basztą zamku w Alcacer du Sol latały bociany, inne brodziły na polach ryżowych, blisko już Setubal i cel wyprawy. Zobaczyłem Lizbonę w nocy, tłumy wracały do domów. Kwitnące jacarandy zlewały sie z delikatnym zmierzchem łagodnej portugalskiej nocy. W centrum znowu pamiętane budynki ukazujące egzotyczną architekturę o orientalnym smaku, miasto, symbioza rzeki i zboczy o bujnej roślinności, morze czerwieniejącej jeszcze dachówki i potężny pomnik Chrystusa błogosławiącego miasto zza rzeki. To z tego idyllicznego miejsca szły morskie zwiady na wszystkie oceany. Miasto ciche nad spodziewanie, żadnych nie było słychać klaksonów...

Nie tak łatwo było znaleźć Quinta das Romazeiras, zaszyty w zieleni dom, biały, o romantycznej nazwie, ale na bezimiennej ulicy. Kto w końcu dotrze do niego, będzie miał niespodziankę: nagle oaza polskości, serdeczność, gościnność, pamięć. Na nowo zachwycają ściany obwieszone historycznymi mapami, półki pełne książek. Bo to nie tylko świątynia polskiej literatury, ale i jej kuźnia, a mieszkańcy tego domu to nie tylko miłośnicy i kustosze, ale również pomnożyciele i propagatorzy.

To tu w 1974 roku Maria Zielińska zaczęła pisać „Szkice o

literaturze emigracyjnej”. Ale temat nurtował ją już od dawna. Pierwsze ślady w druku możemy znaleźć w tekście opublikowanym w „Kontynentach” (w numerze marzec-kwiecień 1961 roku), skróconym wykładzie „Rzut oka na literaturę emigracyjną”, przygotowanym dla Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Tym tekstem rozpoczęła bez mała pół wieku wiernej służby kronikarza tej literatury.

Tymi słowami zaczęła swój wykład:

> Literatura emigracyjna, której losom i obecnemu kształtowi poświęcić mam obecny wykład, jest naturalną konsekwencją wielkiej tragedii narodowej, której początkiem były wydarzenia z wczesnych godzin rannych 1-go września 1939 r.

Dalej autorka zastanawia się nad samym terminem, który należało ukuć i obronić.

Określenie „literatura emigracyjna” jest jednak doby znacznie późniejszej. Do cofnięcia uznania Rządowi Polskiemu w Anglii w roku 1945, nie był w ogóle używany i mówiło się powszechnie o „literaturze Polski walczącej”, wychodząc z założenia, iż oficjalnie zachowana została ciągłość działania instytucji państwowych. Dalszy obrót wypadków sprawił, iż coraz szerzej

zyskiwał obywatelstwo termin „literatura emigracyjna”, rozciągany wstecz na całokształt polskiej produkcji literackiej poza krajem od września 1939 r. Nie jest to termin idealny czy dokładny: raczej termin umowny, powszechnie używany na określenie całokształtu piśmiennictwa polskiego poza krajem i w nielicznych tylko wypadkach kwestionowany.

Nie zawsze łatwo powiedzieć, kto solidaryzował się z emigracją. Od roku 1939 liczymy więc początki literatury emigracyjnej. Opierała się ona najprzód na czasopismach i antologiach, a w końcu na tomach poezji i prozy. Przewodzili jej pisarze już z pewnym dorobkiem, ale z czasem dorośli debiutanci, wreszcie pokolenie, które dopiero poza Polską zaczęło pisać.



Maria Danilewicz Zielińska, fot. arch. KUL.

Pani Maria zajmowała się więc tym wielkim tematem od ponad dwudziestu pięciu lat, kiedy znalazłem się w jej domu po raz drugi. Oglądając zasłużoną pracownię i podziwiając jej twórczynię, pomyślałem, że nadarzyła się rzadka szansa, by z okazji spotkania uczcić długotrwały wysiłek i nagrać rozmowę. Pani Maria była trochę zaskoczona propozycją, ale zgodziła się porozmawiać i tak powstała zaimprowizowana wymiana zdań pt „Wczoraj i dziś literatury emigracyjnej”. Nagraną rozmowę zabrałem z sobą za Atlantyk i przepisałem na maszynie.

Przeszło mi także przez myśl, że zbliżało się pięćdziesięciolecie literatury polskiej poza krajem i że wpływ tak znacznego okresu czasu uzasadniał baczniejsze spojrzenie na aktywność tak wytrwałą.

Odpowiadając na moje pytania, Pani Maria przypominała, że była w pierwszym rzędzie historykiem literatury, a dopiero potem bibliotekarzem. Zaznaczyła, że termin „literatura emigracyjna” nie uważała ze ścisły, bo najpierw mieliśmy do czynienia z literaturą Polski walczącej, a następnie z literaturą wolnego słowa, z literaturą poza cenzurą.

To okres wojenny umożliwił powtórny debiut skamandrytów, których wiersze czytano z entuzjazmem. Awangarda zaś była skąpo raczej, a więc niedostatecznie reprezentowana przez Jerzego Pietrkiewicza. Dobrze zapowiadający się poeta Stefan

Borsukiewicz zginął młodo. Wielką popularność zyskały wtedy antologie twórczości żołnierskiej.

Następnie zainteresowanie zaczęli budzić młodzi twórcy: Zofia Romanowiczowa oraz Tadeusz Nowakowski. Rok 1951 to żniwo Instytutu Literackiego w Paryżu, który wraz z zeszytami „Kultury" zaczął przynosić wybitne teksty Miłosza. Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego i Mieroszewskiego. W Londynie wznowione „Wiadomości" stanowiły ośrodek życia literackiego wraz z inną prasą i wydawnictwami takimi jak, Veritas, Oficyna Poetów i Malarzy i niespodziewanym zjawiskiem: grupą poetycką, która stanowiła pewne novum na mapie emigracyjnej. Pani Maria była zdumiona pojawieniem się w kilkanaście lat po wybuchu wojny, poza Polską, grupy młodych pisarzy niewiele, albo nic nie pamiętających z dwudziestolecia, a próbujących nawiązać do polskiej tradycji kulturalnej. Z czasem zaczęli odchodzić seniorzy, upadały pisma.

Równocześnie jednak twórczość krajowa zaczęła się zazębiać z emigracyjną. Za granicą zaczęto drukować teksty powstałe w Polsce, rozbudowano wydawnictwa podziemne, powstał drugi obieg.

I tak literatura emigracyjna zaczęła ustępować literaturze wolnego słowa współtworzonego przez emigrację i kraj. Zjawisku temu, sądzi Zielińska, nie towarzyszył jednak wspólny język, co

spowodowało konflikt międzypokoleniowy.

Aczkolwiek nie życzyła sobie dożyć kresu paryskiej „Kultury" trafnie nie dostrzegała następcy wśród nowo powstających czasopism za granicą. Druga emigracja niepodległościowa miała się okazać jedyną i nie do zastąpienia przez różnych mało fortunnych uzurpatorów wywodzących się z najbardziej nieprawdopodobnych kręgów.

Kiedy wysłałem rozpisany tekst naszej spontanicznej rozmowy, otrzymałem list datowany 7 sierpnia 1988. Pisała w nim o tekście wywiadu:

> Wydał mi się interesujący, ale wymaga oszlifowania i uzupełnień po przemyśleniu ewentualnych reakcji na moje pewne osądy. Zabiorę się do tego, gdy tylko uwolnię się od terminowych zobowiązań tj. – jak myślę, w końcu sierpnia. […]
>
> Przed otrzymaniem tekstu wspomniałam Giedroyciowi o nagranym przez Pana wywiadzie i pytałam, czy by go interesował. Nie mam jeszcze odpowiedzi. Na drugim miejscu postawiłabym „Puls", „Orzeł" ma inne terms of reference i jakoś się nie rozkręca, mimo dobrych intencji grona ludzi z Walczakiem na czele.

Wygląda z powyższego, że o tym liście Pani Maria zapomniała, bo 23 września napisała następny, biadając w nim nad swoją opieszałością:

> ze wstydem konstatuję, że wysłał Pan pracowicie przepisany tekst wywiadu już 25 lipca – a ja odpowiadam po dwu miesiącach…
>
> Po odrzuceniu pierwszej wersji wywiadu doszłam do wniosku, że 1. jest zbyt długi, 2. że się rozłazi tematycznie, 3. że zawiera zbyt dużo danych informacyjno-bibliograficznych łatwiej dostępnych w „Szkicach" i „Literaturze wolnego słowa". W załączeniu wersja skrócona. Pyta Pan komu ją wysłać? Na sygnał, że wywiad taki został nagrany, Giedroyć nie zareagował – może zrozumiał, że otrzyma tekst w przyszłości i wtedy się wypowie? Gdyby nie „Kultura" to „Puls", „Kontakt" (Jacek Bierezin) ewentualnie „Pamiętnik Literacki" Garlińskiego. Z „Orłem Białym" mam złe doświadczenia – zresztą możnaby równie dobrze złożyć maszynopis do dziupli w Vancouverze….

Niebawem mogłem meldować do Portugalii w liście z 10X. 1988:

> Ogromnie się ucieszyłem otrzymawszy wczoraj poprawiony

> tekst rozmowy, bardziej zwartej i lepiej ukierunkowanej. Zrobiłem kopię i natychmiast pchnąłem ją do Giedroycia z adnotacją, by sygnalizował, jeśli nie chce drukować.

Kiedy wywiad ukazał się w numerze 1 (496) – 2(497) 1989 roku, napisałem do Feijó:

> Z wielką przyjemnością zobaczyłem w <Kulturze> wywiad, który moim zdaniem, rozlegnie się zasłużonym echem i dobrze się stało, że się do Pani wybrałem i przyczyniłem do wydobycia tej wypowiedzi na pięćdziesięciolecie. Przypuszczam, że Pani również już (ma) przyjazne sygnały. Tak więc od czytelników i od siebie dziękuję za poświęcony czas, a wiem doskonale jak z nim u Pani krucho.

Nie trzeba było długo czekać na reakcje czytelników. Na pocztówce z 6 maja 1989 roku pani Maria entuzjastycznie donosiła:

> …wskrzesił mnie Pan swoim wywiadem, bo otrzymałam pod jego wpływem kilka listów, w tym pretensje, że za mało kocham londyński Związek Pisarzy… a nowojorski ‘Tyg.Polski’ (Julita Karkowska) i Barbara Toruńczyk życzą

> sobie mojej współpracy. Najwyraźniej wprowadza mnie Pan w świat!

Ja z kolei w liście z 30 sierpnia 1990 odpowiedziałem z dumą:

> Bardzo się cieszę, że”‘zmusiłem Panią” do tego wywiadu i tak powstał wspaniały tekst. W Polsce bez końca ukazują się konspekty, panoramy i historie literatury emigracyjnej. Trochę mnie te akcje niepokoją, bo oto pozwoliliśmy, by o tej materii pisali ludzie postronni, nie znający terenu z autopsji. Skarżył się Tadeusz Nowakowski, że np. w Wolnej Europie obsadzonej przez nowych ludzi bardzo już jest trudno cokolwiek o dawnej emigracji umieścić. Trzeba by się jeszcze zmobilizować i dorzucić do ogólnej wiedzy te elementy, które tylko nam są znane. A przynajmniej powinniśmy zostać partnerami na tym polu dociekań.



Maria Danilewicz Zielińska, fot. Archiwum Emigracji.

Pani Maria należała do osób, które żywo interesowały się emigracyjnym narybkiem literackim. Mówiła ciepło o jego wyjątkowo trudnym starcie, kalekim dzieciństwie, braku polskich szkół, wzrastaniu wśród obcego społeczeństwa. Pierwsze kroki śledziła z sympatią, zachęcała, chwaliła, broniła, nierzadko uzyskując w zamian aroganckie i obraźliwe repliki swoich pupilów.

Pamiętam, że bardzo się radowała z sukcesów debiutantów „oderwanych od elementarza” jak napisała o pamiętających wczesne lata i opisujących je piękną polszczyzną młodych. Taką pociechę znalazła w twórczości Hanny Świderskiej (ur.1930), wywiezionej na wschód w wieku 9 lat, która pod pseudonimem Janiny Kowalskiej napisała o swoich przejściach w przejmujących „Moich uniwersytetach”. Jej kolejna książka „Pogranicze” znakomicie pokazała współżycie polskich rodzin wojskowych , które osiedliły się w Walii, z zasiedziałą ludnością lokalną. Pod nazwiskiem Grażyny Nowak Świderska wydrukowała w „Kulturze” kilkanaście „Listów z Londynu” oznaczających się bystrym zmysłem obserwacji i ciętym językiem. Także „Teki Historyczne” drukowały jej prace. Sądzę, że historyczka z wykształcenia a bibliotekarka z zawodu (dłuższy staż w bibliotece British Museum), chętnie by na emeryturze myszkowała w doskonale sobie znanych archiwach brytyjskich i zasilała z pożytkiem „Teki Historyczne”, gdyby nie uciążliwe osłabienie wzroku, a także nieszczęśliwy wypadek drogowy, najechanie przez motocyklistę, który ograniczył jej mobilność.

W którymś z listów do Pani Marii wspomniałem jej wielką życzliwość dla młodych poetów londyńskich.

> Przyszedl świeży zeszyt „Kultury” i nowy dowód Pani pamięci i przychylności dla naszej grupy. A pamiętam, że

> nieraz musiała Pani czytać i słuchać wielkich głupstw wypisywanych we wczesnym okresie. Ktoś tam wymądrzał się, że Mickiewicz to żaden poeta, że „Wiadomości" zupełnie do niczego. Pisaliśmy nieraz z wyżyn małego doświadczenia i młodzieńczego zadufania. A i Pani za wyrozumiałość i stałą zachętę odpłacano nie zawsze dobrą monetą. Nie wiem, czy już jesteśmy wolni od wszystkich niedobrych nawyków, od próżności podbijania własnego bębenka, sitw celem windowania siebie, jakby nie wierząc w wartość samej twórczości... Bo czy potrzebny jest hałas wokół dobrego dzieła? Ale może to, co mówię odnosi się do idealnych układów, a w życiu któż chce odwoływać się do „późnego wnuka".

W ostatnim do mnie liście, już po fatalnym pożarze, o którym nawet nie wzmiankuje, wyznaje *"Londyn wspominam z mieszanymi uczuciami"* i choć dalej autorka mówi tylko o wytężonej pracy bibliotecznej, wtajemniczeni pamiętają, że wyjazd z Anglii ciężko przeżyła. Ostatecznie zdecydowała o nim narastająca animozja niektórych członków zarządu POSK-u i ustawiczne nieporozumienia z Radą Biblioteczną, z którą musiała wiecznie wojować, stojąc na straży interesów Biblioteki Polskiej.

Zamieszkawszy trochę na uboczu w Portugalii, nie była dosłownie odcięta od świata. Z początku bywały wyjazdy za

granicę, do Londynu czy Szwajcarii, do Paryża. Były ciągłe wizyty ludzi z Polski i ekip telewizyjnych. W roku 1993 tryumfalnie doniosła: *„W maju był oficjalnie Wałęsa – rozmawiałam z nim…o gwarze naszych wspólnych stron rodzinnych, Kujaw! Hear, hear!…”*

Ale z czasem, po śmierci męża i uciążliwych przypadłościach choroby i starości, słowa samotnia i pustelnia zaczęły nabierać właściwej, okrutnej wymowy. Na parę lat przed śmiercią feralny pożar domu i niepowetowana strata książek i listów wstrząsnęły nią okrutnie. Wyglądała na próżno przyjaciół. Kurtuazyjne zwroty powtarzane w listach: *„Dużo czasu upłynęło od naszego spotkania w Portugalii i myślę, że w tym roku wybierze się Pan znowu do Hiszpanii i przy okazji zawadzi o nasz ermitaż”* czy *„Wzdycham, by w drodze powrotnej do Kanady wypadł Panu przystanek w Lizbonie i serdecznie do Romazeiras zapraszam”*, brzmią dziś nie jak okolicznościowe uprzejmości, ale jak rozpaczliwe wołania człowieka-emigranta skazanego na życie bez ludzi. Jeszcze teraz przejmująco brzmi zaproszenie do Feijó, *„gdzie jest Pan zawsze najmilej widziany. Tkwię tu kamieniem, zawsze obecna”.*